

KUŹNICA

Rok IV

Łódź, 21 listopada 1948 r.

Nr 47 (168)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ADOLF RUDNICKI

SCEDZONE WINO ŻYCIA¹⁾

I.

GDY Paweł Klostermayer, trzydziestoletni mężczyzna, jasnowłose, o długich kończynach, długiej twarzy, wydatnym nosie, wydatnych ustach i chudej szyi, wszedł do domu przy ulicy M., zdawało mu się, że pomylił adres. Nigdzie nie było widać żadnych mieszkań prywatnych. Dom był nieduży, dwupiętrowy z frontu, w oficynie miał dobudowane jeszcze trzecie, ale zarówno z frontu jak w oficynie mieściły się tylko składy i urzędy, puste dzisiaj przy niedzieli. Obszedłszy front i oficynę i nie natrafiwszy nigdzie na ślad człowieka, Klostermayer postanowił się wycofać. Ale — jak to bywa — przekonany że powinien się wycofać, poszedł jeszcze na ostatnie piętro do budówki. Głowa dostawał niemal sufitu, drzwi mieściły się tylko po jednej stronie. — „Nie będzie to mieszkanie nadzwyczajne” — przeszło mu przez myśl, daleka teraz od spraw mieszkaniowych. Miał już zapukać, gdy wewnątrz zadzwonił telefon. Nikt go nie podjął. Kiedy Paweł Klostermayer minął ostatni stopień, usłyszał wyraźnie jak ktoś zamknął kran, zatem osobie, znajdującej się w mieszkaniu zależało na tajemnicy. Telefon zamarł i Klostermayerowi znów zdawało się, że słyszy kroki. Zapukał. Kroki natychmiast ustały. Klostermayera, na którego dotąd cisza domu działała niewyraźnie, ogarnął lęk. Naraz drzwi się uchyliły i stanął w nich człowiek, koło czterdziestki, zmięty, jakiś spocięty, z podkowami pod oczyma, jeszcze w pidżamie, cały w nocy, mimo późnej pory popołudniowej. Bez słowa przyglądał się przybyłemu. Przez dłuższą chwilę obaj mężczyźni w milczeniu przypatrywali się sobie. Klostermayer odczuwał się niepewnie:

— Szukam mieszkania. Mówiono mi, że pan chce odstąpić mieszkanie.

— Mieszkanie? — człowiek w pidżamie tak jakby nie rozumiał, co słowo to oznacza.

— Tak...

— Tu... nie ma żadnego mieszkania.

— Mówiono, że pan się wyprowadza... — Ja się wyprowadzam? Kto powiedział? Kto przysłał pana?

— Radzono mi pomówić z panem Wortman. Pan... Czy ty mnie nie poznajesz, Janie Samuelu?...

— Nie.

— N-n-nie? Jabyłem również nie poznał, ale niedawno byłem świadkiem pewnej rozmowy w urzędzie: Jan Samuel Młodochowski? — pytał urzędnik. Czy z Młodochowskich z Wielkich Chlebów. — No to było niegdyś — odpowiedział. — Es war einmal. W dzisiejszej demokratycznej tylko obywatel Młodochowski. Dobrze, że ludzie mają nazwiska, inaczej po czym by się ich poznawało po tylu latach?

— A-a-a, już wiem! To ty... Poznaje po głosie.

Obywatel Młodochowski wyciągnął rękę do człowieka, którego znów oglądał po dwunastu latach, ale nie poprosił go do środka. Raz jeszcze dorzucił, że „nie

ma mieszkania” — i zamknął. Niewyraźność uczuć Klostermayera wzrosła. Powinien był pożegnać się i czempredziej zbiec na dół po nowej porażce „na odcinku mieszkaniowym”. Pomimo to stał w miejscu, przedłużając nieznośną sytuację. Nagle Młodochowski skinął mu głową i zamknął drzwi. Klostermayer czuł się jak sparaliżowany. Nasłuchiwał. Wiedział, że tam po drugiej stronie stoi Młodochowski także nasłuchując. Po chwili istotnie drzwi znów się otworzyły.

Mieszkanie, do którego bez słowa został wprowadzony Klostermayer, było to typowe poddasze o niskim pułapie i cienkich rozgrzanych murach. Mineli jakieś drzwi, minęli nieduży korytarzyk i znaleźli się w dusznym pokoju. Przez opuszczone „zaciemnienie” z papieru przesączało się światło żółte, tłuste, ze słupami słonecznego pyłu: na ulicy szalało słońce lipcowe. W szparach rolet tkwiły nieruchomo gałęzie drzew; za oknem mieścił się widocznie jakiś ogród. Mebli w pokoju znajdowało się mało, jakaś sofa, trzydrzwiowa szafa, pod ścianami — jak w starych pokojach stołowych — stało może z dwanaście krzeseł, każde inne. Młodochowski dla przybyłego wyciągnął krzesło spod ściany, przystawił je do sofki, na której sam usiadł. Wszystko to czynił w milczeniu i nie wyglądało na to, że ma zamiar zabrać głos. Nie spuszczał przy tym oka z Klostermayera.

— Dom jak wyspa. Mieszkanie, które pachnie nieszczęściem. I jaka podłoga! — pomyślał Klostermayer. — Nie mam odpowiedniego mieszkania — zaczął chciał wzmocnić się słowami. — Przyjechałem za późno do Łodzi. W firmie cobyś obiecywał mi coś lepszego, ale ja tam nie mam pleców, więc szukam na własną rękę. Czyj bilet widziałem na drzwiach? Zdaje się, że nie twój?

— Nie mój.

— Czy to prawda, że to mieszkanie się zwalnia? Ty wyjeżdżasz?

— Tak mówią? — spytał z nagłym ozwieniem Jan Samuel.

— Nie wiem. Ja Wortmana nie znam. Ktoś słyszał, jak gdzieś komuś powiedział, że to mieszkanie będzie wolne. Jak tu u ciebie czegoś ciężko...

— Dlaczego ciężko?

— Ciężko...

— Dlaczego?

— Nie wiem... Tak, bardzo dziwnie jakos. Ktoś, kto wiedział, że szukam mieszkania, radził mi się zwrócić do dawnego kolegi szkolnego, Neymarka z Bezpieczeństwa. Po pierwszym „bardzo miłym” spotkaniu umówiliśmy się w cukierni na rogu Piotrkowskiej. Kiedy w półtorej godziny po czasie Neymarka jeszcze nie było, postanowiłem zająć do niego; mieszkał niedaleko na Cegielnianej. Odszukałem mieszkanie i zadzwoniłem. Nikt nie odpowiadał, tak jak u ciebie przed chwilą. Naciśnąłem klamkę — ustąpiła. W korytarzu stał młody człowiek w jasnozielonym trenczu. Oglądał jakiś obraz. Spytałem o Neymarka. Nie drgnął nawet. Patrzył na mnie kątem oka jak ptak. Ta niesamowita sytuacja trwała całą minutę. Otworzyłem najbliższe drzwi — pusto. Otworzyłem następne i — ujrzałem kogoś zanurzonego z głową w wannie. W pierwszej chwili pomyślałem, że to mord seksualny. Wypadłem na korytarz, ale młodego człowieka już nie było. Sąsiedzi nie chcieli ze mną mówić. — „Idź pan na milicję, to ich sprawa”. Wybiegłem z domu i stanąłem na drugim chodniku. Po kilku minutach wszedł ten sam młody człowiek w jasnozielonym trenczu. Kiedy zobaczył mnie, wpuścił rękę w kieszeń. Pomyślałem, że mnie kropnie. Z ręką w kieszeni minął mnie i przepadł na najbliższym rogu. Potem dowiedziałem się, że Neymarka zanurzyli w wannie i zastrzelili pod wodą, żeby nie narobić huku. Zabrali broń, buty, papierosy. Musiało być ich kilku, jednego ze swoich zostawili. Może spodziewali się jeszcze kogoś z UB. Pytając o Neymarka,

byłem o krok od śmierci. Później zrozumiałem, że zabójca nie mógł nawet widzieć obrazu, stał zbyt blisko. Oceniał sytuację. Musiał być wstrząśnięty, bo nie mógł przemówić. Czy nie zrobił użytku z broni dlatego właśnie, że był zanadto wstrząśnięty, czy że mój rysopis nie zgadzał się z rysopisem tego, na kogo czekał? Nie wiem... Kiedy znalazłem się u ciebie na schodach, pomyślałem: Tu mogą mnie nawet łatwiej kropnąć aniżeli na Cegielnianej. Jest jakieś podobieństwo w tym mieszkaniu... Czy tu nie ma nikogo, prócz nas dwóch.

— N-n-nie ma...

— I w całym domu nie ma nikogo?

— Jest dozorca. Czemu tak nadsłuchujesz? Czyś ty przyszedł tylko w sprawie mieszkania?

— Tylko... Może pójde już Samuelu?

Klostermayer nie ruszył się jednak z krzesła. Również Jan Samuel pozostał na miejscu.

— Powstanie spędziłeś w Warszawie? — spytał nagle Jan Samuel.

— Nie w Warszawie.

— W Krakowie zdaje się?

— Nie w Krakowie — odrzekł Klostermayer. — Mnie powstanie zastało w obozie pod Krakowem. W sześć dni po wybuchu powstania warszawskiego Kraków przeżył olbrzymie łapanki. Jednego dnia przywieźli do obozu przeszło dziesięć tysięcy osób. Kiedy na apelu Obersturmführer spytał, kto ma broń, wystąpiło dwadzieścia osób. Niemiec ostrzeliwał. Okazało się, że mieli prawo — pracowali w Kripo, w niemieckiej policji kryminalnej. Jeszcze apel trwał, jak przyjechał pan Strożyk, redaktor „Krakauerki”. Błagał o zwolnienie metrapaży, bo pismo nie mogło się ukazać. Ostbahn błagało o kolejarzy. Niemcy byli przekonani, że powstanie warszawskie stanowi sygnał do ogólnego powstania w kraju, stąd te łapanki krakowskie. Jak doszli do wniosku, że tak nie jest, postanowili zwrócić część potowu. Musieli, bo życiu w G. G. groził paraliż, firmy niemieckie mogły istnieć tylko dzięki polskim pracownikom. Potem Gestapo przysłało specjalną listę stu pięćdziesięciu najpoważniejszych obywateli krakowskich do zwolnienia. Pracowałem w kancelarii, byłem prawą ręką kierownika „pocziwego Niemca” Schlieffego, który nosił narekawki, brzydził się krwi, a o Polakach

„Idealistami mianują siebie reakcyjni obskuranci, materialistami zaś winni nazywać się ci wszyscy, którzy dążą do wyzwolenia umysłu ludzkiego od chaosu metafizycznego”.

Włodzimierz Lenin

TREŚĆ NUMERU:

ADOLF RUDNICKI —

SCEDZONE WINO ŻYCIA

MIECZYSLAW JASTRUN —

ŻYWY MICKIEWICZ

ADAM SCHAFF —

KLASOWY CHARAKTER
FILOZOFII (II)

QUINTUS HORATIUS FLACCUS —

DO POSTUMUSA

WALERIAN GAPIRINDASZWILI —

MARZENIE

KANDYD —

TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK

ARNOSZT KOLMAN —

WALKA O PRAWDĘ NA X-TYM
MIĘDZYNARODOWYM KONGRESIE
FILOZOFICZNYM W AMSTERDAMIE

K. W. ZAWODZIŃSKI —

ROZKWIAT LITERATUROZNAW-
STWA RĄDZIECKIEGO

ADAM WAŻYK —

Z TEATRÓW ŁÓDZKICH

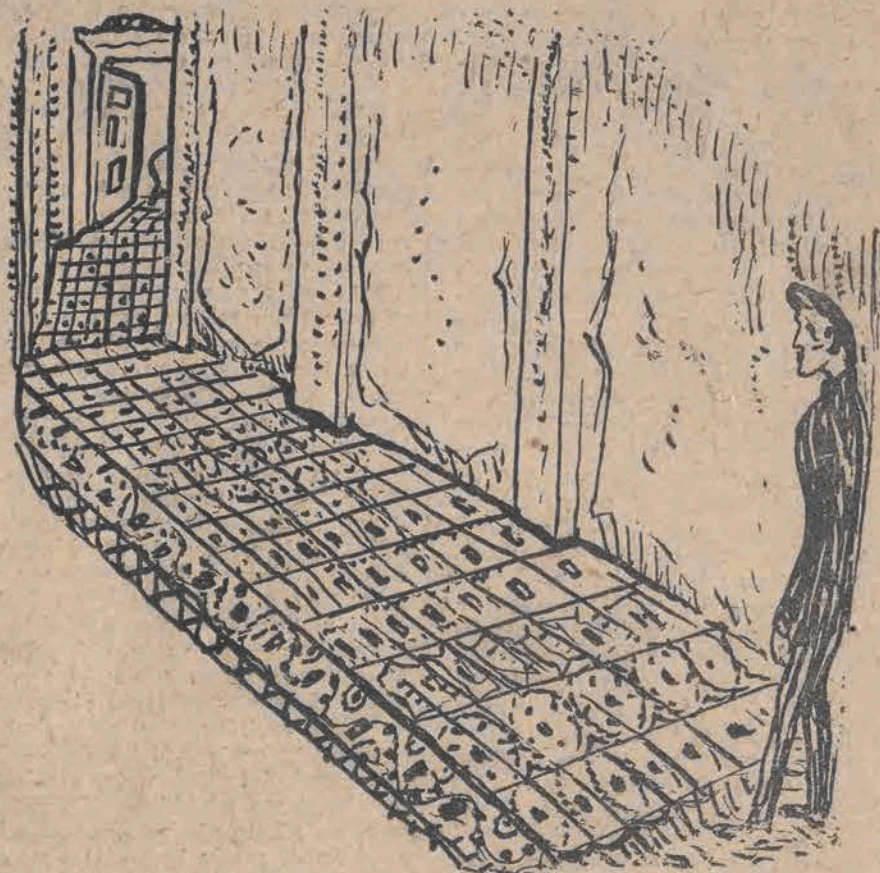
JAN REYCHMAN —

ZBÓJNICTWO KARPACKIE
W NOWYM OŚWIETLENIU

PRZEGLĄD PRASY

KORESPONDENCJA

NOTY



¹⁾ Tytuł wzięty z „Makbeta”.

mówił z sympatią. Słyszałem o mającym nastąpić zwolnieniu. Od pierwszego dnia obozu powtarzałem sobie: Schlieffe mnie zwolni. Nastąpił apel. Schlieffe stał pomiędzy mną, a drugim tłumaczem, który wywoływał. Wywołani ustawiali się w szeregu. — Dołączę Herr Schlieffe — mówiłem szeptem. — Mensch — odpowiadał mi... I tak przez godzinę. — Tylko Mensch. — Po uformowaniu kolumny wystąpili nagle SS-mani. Śmietaną Krakowa załadowano na ciężarówkę i wywieziono do Gross-Rosen. Czy tu napewno nie ma nikogo? Tu jakby coś było słychać...

Klostermayerowi nagle rozjaśniła się twarz:

— To przecież kanarek.

— Tak, kanarek — potwierdził. nieporuszony Miodochowski.

— Miałem kiedyś wiewiórkę — rzekł ciągle jakoś ostrożnie Klostermayer — oswoiłem ją. Raz wyszła na burzę. Wróciła bardzo biedna, zmokła, głodna. Jak karmiłem ją mlekiem, to mi zasypiała pod ręką. Następnego dnia obudziła się taka jak dawniej, dokazywała. Potem ktoś zostawił drzwi otwarte i znów uciekła. Szybko zdążyła zapomnieć, co przeszła. Ona napewno zginęła, nie była przyzwyczajona do samodzielnego życia. Potem miałem kawkę. Przylatywała na każde moje zawołanie i siadała na ramieniu. Ukradli mi ją. Ty, ty znasz przecież Mateusza Groneta?

Jan Samuel wyraźnie zdrzął.

— I za mną — ciągnął Klostermayer — przez całe życie szły fale Wielkich Chlebów. Coś się tam robiło w konspiracji. Narzekają na sanację, że nie przygotowała kraju do życia podziemnego. Istotnie, ale zapominają, że Polska jest krajem psychologicznie zawsze przygotowanym do życia podziemnego. W Polsce nigdy nie jest ważne, co się mówi głośno, czy pisze jawnie. Przed samym powstaniem Kraków zażądał pomocy „w rozpracowaniu” i przeprowadzeniu zamachu na jedną z fisz niemieckich. Moja rola miała się ograniczyć do uściślenia niektórych wiadomości. Na kierownika zamachu wyznaczono Mateusza, o którym mówiono, że pracuje na zimno, że „strzela w ludzi, jak w kanapkę”; praca w kontrwywiadzie ustaliła jego legendę. Kiedy w wielkiej tajemnicy powiedziano mi, z kim mam jechać, doznałem poruszenia, jak urzędnik na widok marszałka. Mateusz wziął ślub bodaj że dzień przedtem, ale musiał zostawić swą młodą żonę Mewę i podporządkować się nakazom organizacji. Pojechalśmy wtedy jednym pociągami, ale przeczornie nie wsiedliśmy do tego samego wagonu. Zabrano nas jednak razem w tej samej łapance, gdyśmy wysiedli i o godzinie drugiej w nocy znaleźliśmy się na placu apelowym w obozie pod Krakowem obok siebie. Komendant obozu, obersturmführer Haman, lubił „pracować” nocą, wypijwszy przed tym wraz ze swoimi ludźmi. Jego krótkie orzeczenia: *rechts*, *links*, *einundzwanzig!* pogłębiały w nas mrok i strach. Nie wiedząc, co oznaczają, nie wiedzieliśmy jak układać odpowiedzi. Trudno było uchwylić klucz do jego wyroków. Jednego ślusarza kierował na lewo, drugiego na prawo, jednego tokarza na prawo, drugiego na lewo. Umysły nasze pracowały z największym wysiłkiem. Niemcy wygarniali trójkami. Znalazłem się razem z jakimś chudzielcem i z Mateuszem. — Czym jesteś w cywilu? — ryczy Niemiec z latarką na brzuchu. — Czarodziejem — odpowiada Mateusz. Zamarłem. Godzina druga w nocy, pustynny plac apelowy, oslepiające reflektory w tym miejscu, gdzie odbywa się apel, ciemne morze po za nim, ziąb, strach, przeraźliwe krzyki boga z latarką na brzuchu — i nagle ten czarodziej Mateusza! Skąd on to wziął! Zakreśliło mi się w głowie. Coś podobnego musiało się stać i z młodym tłumaczem, Polakiem, pijanym jak SS-mani, ubranym po cywilnemu z numerem na rękawie. — Dlaczego milczysz? Warum schweigst du? — wrzeszczy Niemiec na niego. Chłopak, zebrawszy wszystkie zapasy swej niemczyzny i siły nerwowej, odpowiada: — On mówi, że jest czarodziejem. — *Zauberer?* Was?! Was?! No to czemu jeszcze stoi? Czemu nie chodzi po sześciokrotnych drutach napuszczonych elektrycznością?! Natychmiast na druty! Tłumacz powtarza: Pan obersturmführer każe panu chodzić po drutach Mateusz spogląda nieprzytomnie, usta, oczy latają mu w twarzą. — Czemu on jeszcze stoi? — ryczy bóg, Mateusz rusza w stronę drutów. Teraz tłumacz zwraca się do SS-mana: — Wissen Sie, Herr Obersturmführer, cylinder, gołębie, gwoździe. Unter den Linden. — Niech wraca — pada nagle zmieniona decyzja. Zapytaj go, gdzie pracował. — W teatrze Marionetkowym. — Im Puppentheater! So was!



Coś takiego! — Obersturmführer wybuchł spazmatycznym śmiechem. On jeden na ogromnym, zastygłym placu. — Pracowałem im *Puppentheater!* Trzecia Rzesza — krzyczy — Trzecia Rzesza nie mogłaby istnieć bez niego! Zginęłaby bez niego! Nasze zwycięstwo byłoby niemożliwe bez niego! Taki jak on, jest nam tutaj niezbędny, un-ent-behr-lich! — I zwraca się do SS-manów: *einundzwanzig*, aber sofort! Jeszcze plac nurzał się w kręgach sprawy czarodzieja, gdy wystąpił chudzielec, nie zwróciwszy niczyjej uwagi, jak śmierć w czas dżumy. — Zawód: — *Krešlarz*. — „*Einundzwanzig*” — brzmiała decyzja Niemca, wygłoszona bez poprzedniego ognia. W chwilę później mnie odesłano na prawo. Nazajutrz starzy obozowicze wytłumaczyli nam szyfr nocy. *Einundzwanzig* oznaczało rozwałkę natychmiastową, *links* — rozwałkę w ciągu dwóch, trzech dni, *rechts* — pozostanie w obozie. Mateusza więcej na oczy nie widziałem.

— Potem — ciągnął Klostermayer — zacząłem pracować w kancelarii. Pewnego dnia odebrałem z miasta gryps. Kuzyn pisał mi, żebym zniszczył swoje dokumenty. Nic nie rozumiałem. Zadanie moje, między innymi, polegało na segregowaniu listów. Miałem teki z napisami: pilne, bardzo pilne, tajne. Miałem jeszcze jedną teczkę „różne”, dla spraw gospodarczych, którą Niemcy opróżniali co dwa trzy dni. Pewnego razu wśród listów zauważyłem jeden z *Liegenschaftu* z napisem „*Streng geheim*”. W Krakowie, gdzie przebywałem często, posiłkowałem się kartą pracy właśnie z *Liegenschaftu*, czystą lipą. Rzuciłem okiem na list. Domagano się mojego zwolnienia, jako „niezbędnego pracownika”. Zawstydzilem się, całą swoją krakowską rodzinę miałem za nic, a oto jak „zadziałali”. Naraz stwierdziłem odcisk pisma maszynowego z drugiej strony. Poprzedni list wyczulił mnie na tę niezwykłą odsiecz ze strony firmy, której nigdy nie widziałem na oczy; ktoś kiedyś świsnął formularze i sprzedawał ludziom jako karty pracy. Śledzony, mogłem tylko na sekundę odwrócić arkusz. Odróżniłem cztery wyrazy: nazwisko własne, fałsz, konsekwencja. Wszystko zrozumiałem. List domagający się mojego zwolnienia, napisał kuzyn. List ten zwrócił uwagę Gestapo. (Potem dowiedziałem się nawet, dla czego: z powodu dwóch błędów gramatycznych i dlatego, że nazwisko wpisano ręcznie: Niemcy do tego celu używali maszyny). Teraz Gestapo przekazywało całą rzecz komendantowi obozu, Hamanowi. Nie mogłem podrzeć, ani połknąć listu. Mogłem go tylko włączyć do teczki „różne”. Zdawałem sobie sprawę z następstw. Może mnie nie rozwałą, ale napewno poślą na Pomorską, tam otwieranie żył, wanna itp. Wiedziałem jedno, że muszę się wydostać z obozu. Nazajutrz miało nastąpić zwolnienie trzystu osiemdziesięciu osób, wyreklamowanych przez firmy niemieckie. Tym razem wymogłem na Schlieffem dopisanie mojego nazwiska jako 381. Miałem szczęście: przy zwalnianiu nie było Hamana. Przed ostatnią wachą wartowniczą z wieżyczek sprawdzali nas. Stałem w szesnastej piątce. Każdą piątkę lustrowali przez pięć minut. Przez godzinę czasu powtarzałem sobie: teraz, teraz nadjedź! Nigdy w życiu nie przeżyłem pełniejszej godziny. Nie nadjechał. Lola! — przywitał mnie mój kuzyn. — To Lola cię uwolniła! Dałem jej pierścionek z szafirem i sto miękich. Nie zaprzeczyłem nawet; Lolę odwieźdzały wszystkie rodziny, które miały kogoś w obozie, czy na Pawiaku. Zajęty byłem obmyśleniem postępowania obersturmführera. Wiedziałem, że wróci około siódmej i wtedy za-

dzwoni na Pomorską. Z Pomorskiej na Karmelićką zajadą autem w ciągu dwóch minut. W pięć minut po moim wyjściu przyjechało Gestapo.

Klostermayer:

— Do Warszawy nie mogłem wracać: powstanie. W Krakowie palił mi się grunt pod nogami. Gdzie spędziłem jedną noc, nie mogłem spędzić następnej. Nie mogłem narażać ludzi, zresztą nie pozwalali się narażać. Nic nikogo nie wrzasało. Obozy uważa się za dno upadku ludzkiego. Były okresy, kiedy miasta osiągały podobny stopień bezczulości. Jednym z nich był czas po powstaniu. Warszawianie, którzy przyglądali się powstaniu, nie żądali nic od siebie, ale od ludzi, którzy powstania nie widzieli, żądali aby byli ludzcy. Do dnia dzisiejszego nie mogą oni wybaczyć Krakowianom ich zachowania się po powstaniu. Niesłusznie. Ilość cierpień, jaką przywieźli Warszawianie ze sobą, była zbyt wielka, a cudze zbyt wielkie cierpienie odepła i wzmaga egoizm. Tylko las mógł mnie uratować. Jak każdy człowiek z miasta bałem się lasu. Potem okazało się, że las nie był najgorszy. Trafiliem do oddziału, który liczył jakieś pięćdziesiąt osób w wieku od szesnastu do pięćdziesięciu lat. Ulokowani na wysokości tysiąca metrów, nie byliśmy niepokojeni przez Niemców, sami również Niemców nie niepokoiliśmy. Ziemiarki już były urządzone, sztab mieścił się w leśniczówce. Właściciel pobliskiego tartaku sprzyjał nam i większość narad odbywała się u niego. Oddział korzystał poza tym ze stałych i obfitych zrzuć i miał się właściwie świetnie. W oddziałach położonych niżej żyło o wiele gorzej. Rosjanie, którzy działali w okolicy, przychodzili do nas od czasu do czasu, już z daleka wołali: Nie strielat! Nie strielat! A potem: ja ruski partyzan, ty polski, dawaj pokuszać; przymierali głodem. W lutym nastąpiła ofensywa rosyjska. Któregoś dnia komendant oddziału, przedwojenny major, stał nad szczyfranką Basią i krzychał: Niemożliwe! Niemożliwe! Proszę jeszcze raz sprawdzić! — A jednak — broniła się szczyfranka — Piotr i Paweł budują nowy dom oznaczają rozwiązanie Armii Krajowej. — Zdrada — krzyknął major. — Zdrada! — krzyknął za nim porucznik Staś. — Zdrada — powtórzyło wielu żołnierzy. — Pięć lat wodzili nas za nos, a teraz każą się rozwiązać! Wyłoniły się cztery koncepcje: Jedni chcieli wycofać się razem z Niemcami, drudzy chcieli wycofać się samodzielnie do Aliantów, inni — pozostać w lesie i prowadzić akcję nadal, jeszcze inni — powrócić do domu. Cztery te koncepcje doczekały się realizacji. Wyślano parlamentarzysty do najbliższego oddziału Niemców i Niemcy zgodzili się przepuścić z bronią — o to szły targi — Sturmabteilung AK. Zwoleńników samodzielnego wycofania się do Aliantów Niemcy przy przejściu wybili do nogi. Trochę ludzi pozostało w lesie. Największą część, zmęczoną chorobami, zbankrutowaną politycznie, ruszyli do domu. Razem z nimi i ja zeszedłem z gór.

Klostermayer:

— Przez jakiś czas tułałem się, w końcu odnalazłem swoją rodzinę w Łodzi. Powiedziałem sobie: Koniec z wojną. Czas żyć normalnie. Do stałem pracą w laboratorium. Zanudzam cię „historią”, tą plagą naszych dni. Zbyt wiele się przeszło, człowiek musi się wygadać. Boże! jak się kiedyś czytało o tych sprawach w prasie podziemnej, dzisiaj — oko się tylko po nich przesuwa. Oczy już zapatrzone są na co innego. Sto tysięcy cudem ocalonych chodzi w tej chwili po

Piotrkowskiej i czyha tylko na okazję, aby kogoś zabić „swoją historią”. W trzy miesiące zaledwie po wojnie, niczego się tak człowiek nie boi, jak historii o cudownych ocaleniach. Wpadłeś Samuelu, ale posłuchaj dalej... Trzy dni temu, jestem sam u siebie na bazie. Przychodzi kobieta lat pięćdziesięciu, cała się trzęsie, rozgląda bojaźliwie, szeptem pyta, czy nikt nie podstuchuje. Jestem, mówi, matką Zbika. Oni muszą pana koniecznie zobaczyć. Ja pójde naprzód, wysiądę na ostatnim przystanku. Będę w ciemnych szklach i w chustce na głowie, śledzą mnie. Panu również radzę czegoś takiego, może wasy, szkła, słomkowy kapelusz, na ulicy dzisiaj upał. Przyjechałem przed nią, czekałem dosyć długo, w końcu widzę jak wysiada z tramwaju, nakłada szkła, białą chustkę — dziecko by poznało. Zbik zaczął od tego, że mógłby mnie rozwalić. „Złamałeś przysięgę, a przysięga nadal obowiązuje. Pamiętasz wioskę w górach? Pamiętasz Macieja Cwikłę? Pamiętasz? Wśród nocnej ciszy z Podhala piynie kolenda, wśród nocnej ciszy woła i śpiących budzi na alarm? Pracujesz dla nich, podobno robisz spikerkę do filmów, wzywasz Polaków do powrotu, do odbudowy ich nieprzemakalności i niepodległości. Wojna się jeszcze nie skończyła. Wódz naczelny, rząd w Londynie itp.” Podrzucił przy tym maszynę w garści. Myślałem, że zwabili mnie, aby mnie rozwalić. — Jeśli cię nie rozwałę — mówi dalej — to tylko dlatego, że możesz się nam przydać. Słyszałeś o wykonaczu Hrubego z Bezpieki? To nasza robotka. Mieliśmy straty. Kruka zastrzelili na miejscu, Sep zmarł w szpitalu, ale Watra ocalał. Teraz musi wiać. Bezpieka depcze nam po piętach, mamy drogę, mamy lewe papiery, ale nie mamy fotografii Watry. W tych warunkach nie może on pójść do fotografa. Znalazłem jakieś stare zdjęcie z lata na wsi. Widzisz tę szpilkę? — to on. Weźmiesz i dasz powiększyć u siebie w laboratorium. Fotografie odniesiesz do Jeruzłowa. Zapytasz o brata Jana — to właśnie Watra. Lepiej, abyś zapamiętał rysopis, bo tam jest kilku braci Janów. Przeor to chrześcijanin, za Niemców miał pełno Żydów w klasztorze. Ja dostałem od niego prawdziwy jerozolimski szkaplerzyk. Może i tobie da... W kilka godzin później otrzymałem telefon na bazę, żeby fotografię dostarczył jednak Zbikowi. Tym razem matki nie było. Zbik sam otworzył mi drzwi. Przyniosłeś? Okey. W chwilę później wszedł Watra. A Watra to był Mateusz — Mateusz Gronet. „Cudem ocalał”. Wywieźli go do Niemiec. Tam po liberacji proponowali mu wyjazd do Japonii. Odmówił. Wrócił, „aby raz jeszcze zobaczyć Aleje w stońcu”. Jak tylko wrócił od razu znalazł mi pracę — właśnie rozwałkę Hrubego.

Jan Samuel nagle skrzywił twarz:

— Ja wiedziałem, ja od pierwszej chwili wiedziałem, żeś nie przyszedł w sprawie mieszkania.

— Sam już nie wiem, po co przyszedłem, Samuelu! Mógłbym przysiąc, że po mieszkaniu, tak jak ty, że — nie po mieszkaniu. Najpierw doszło mnie o tym mieszkaniu, a potem, po niespodziewanym spotkaniu z Mateuszem, już sam nie wiedziałem, po co idę, mieszkanie odnajmować, czy ostrzegać. Samuelu, ostrzegać! ostrzegać przede wszystkim, bo Mateusz pije całymi dniami i w końcu z rozpaczą zrobi coś potwornego. Kiedyś, w gimnazjum założył grupę narodową Tegobory. Nocami zbierał chłopców na cmentarz i hartował ich, wymagał od nich abstinencji, a teraz, żebyś ty go widział! Spędziłem z nim kilka godzin. Musiałem mu pomóc rozebrać się, tak był zalany. — „Położ mi maszynę pod głowę, ja bez maszyny już nawet spać nie mogę. Nie zostaje się z nią. Jak wróciłem, mama powiada do mnie: Masz dwadzieścia osiem lat, idź na uniwersytet, uniwersytety otwarte, ucz się. Co, myślałem sobie, pójde na uniwersytet i będę słuchał bredni starego pierdoły o życiu. Co on wie o życiu? O życiu ja mógłbym mu opowiadać. I jak ja pójde teraz na uniwersytet? Ja już nie wytrzymam bez silnych przeżyć. Ja życia nie wyobrażam sobie bez maszyny, stale ja muszę mieć pod ręką. I po co mi głowę kręca tym przejściem granicy. Nie pójde nigdzie. Tu zostanie, jak długo się da, a potem strzeżę sobie w łeb. Samuelu, pytasz mnie, po co przyszedłem? Znasz inżyniera Franczewskiego, to dzisiaj człowiek po pięćdziesiątce. Do czterdziestego roku życia był subtelny, delikatny. Teraz, jak zaczyna o miłości, to zawsze ordynarnie, nienawistnie. Nienawidzi młodych, oburza się na shorty. Ale pod nienawiścią tętni ból serca, które niewiele już ma szans, by odnowić Noc Miłości, słycha szloch serca, które straciło nadzieję. Dla

ciebie miłość to chleb codzienny, ale ci, co tego chleba nie otrzymują! — pomyślałeś ty kiedy o nich?!... Wrócił niedawno mój brat stryjeczny, Marek, z Anglii: — Kocham — mówi — Polskę, jak śpiącą biedną siostrę. Jak przejeżdżałem przez te ubogie, brudne stacje bramowane wysokimi murkami, jak widziałem tych ludzi w wielkich kapeluszach, ustępujących pokornie z drogi, to aż mnie w gardle ścisnęło. Nigdzie otwartej twarzy! Spójrz na ten dancing — śpi! Albo te nasze kobiety! Kwadratowe o mocnych szczękach, jak podają rękę — czujesz uścisk mężczyzny. Są historyczne powody, tak, ale czy mężczyźni obchodzą historyczne powody? Chodzą z tymi minami brabin, kryją się, kompleks na kompleksie. W Anglii kobiety są długie, wydłużone. Nie wstydzą się poci. Noszą piersi jak złote jabłka. I mają włosy! włosy! Ma się wrażenie, że w Polsce kobiety są bez włosów. Zresztą — opamiętał się nagle Klostermayer — zresztą... Jakże miałem nie przyjść skoro Mateusz odgrażał się, że za bije ciebie, siebie i — Mewę.

— Prawda — odezwał się Jan Samuel. — Ty przecież znasz Mewę?

— T-t-tak...

— To ona od ciebie przecież dowiedziała się, że Mateusz nie żyje. Tyś jej opowiadał o jego śmierci?

— Ja. Przed pojsiem do lasu.

— Mówiła mi o tobie — Klostermayerowi zdawało się, że Jan Samuel leciutko się uśmiechnął.



— Sądziłem, że dobrze będzie i ją przestrec. — Klostermayer gwałtownie się zarumienił.

— Już nie trzeba.

— Jak to już nie trzeba, Samuelu?

— Za późno.

— Jako, za późno?

— Ty przyszedłeś do Mewy — rzekł Jan Samuel. — Przyszedłeś przecież po to, żeby ją zobaczyć? — Jan Samuel bystro

spoglądał na zaczynającego się tracić przybysza.

— T—ak. Właśnie t—tak...

— Będziesz ją mógł zobaczyć.

— K—kiedy?

— Zaraz.

— Zaraz? To ona jest tutaj? A tutaj tak cicho...

— Cicho — potwierdził Jan Samuel i znów zanurzył rękę w garnku z wodą,

który stał na podłodze przy kanapie. Co pewien czas zanurzał rękę i zwilżał sobie skroń i piersi. Był to mężczyzna nieco niższy od Klostermayera, ale mocniejszej budowy o wspaniałych mocnych oczach, pozbawionych teraz blasku. Cały był jakiś obrzękły. Wyglądał jak starzec.

— Chodź — rzekł Jan Samuel i powstał z sofki.

Klostermayer nie czuł się na siłach wykonać żadnego ruchu.

— No, chodź! — powtórzył Jan Samuel jak do opornego chłopca.

Klostermayer dźwignął się wreszcie z krzesła i poszedł jak uręczony za Młodochowskim. Wąskim korytarzykiem przeszli do pokoju od ulicy. Również tutaj panował żar i zaduch; okno było zasłonięte. Pokój ten był obszerniejszy. Klostermayerowi zrazu zdawało się, że nie ma tu nikogo. Wkrótce jednak zobaczył: pod najbliższą drzwiami ścianą na tapczanie leżał ktoś nakryty po głowę wielbłądźm pledem. U stóp tapczanu na baranicy, nakryta zielonym kocem z literami U. S. leżała druga postać. Gdy Jan Samuel odsłonił głowę leżącą na tapczanie, Klostermayer poznał złotowłosą Mewę, w człowieku na baranicy Mateusza Groneta. Oboje nie żyli.

Klostermayer spojrzał błędnie na Młodochowskiego. W chwilę później osunął się na podłogę. Stracił przytomność.

(Dokończenie na str. 6)

MIECZYSLAW JASTRUB

ŻYWY MICKIEWICZ^{*)}

JEDNYM z istotnych warunków przebudowy Polski jest nowe, twórcze podejście do tradycji narodowej, odkrycie jej prądów postępowych, ocena z punktu widzenia najgłębszych dążeń dzisiejszej Polski.

Dzieła dawnego poety czytamy poprzez naszą współczesność, ale to nie znaczy, abyśmy wrywali jego portret z ram historii, która te dzieła uwarunkowała. Czytamy poetę w kategoriach jego czasu i zarazem czytamy go poprzez to wszystko, co na dziełach jego narodziło. Na dawne znane nam dobrze rysy pisarza rzucamy promień nowego życia. Wszelkie inne czytanie byłoby tylko sprawdzaniem przy pomocy latarki martwych liter w lochu grobowym przeszłości.

Poezja Mickiewicza, jego myśl, jego sztuka jest niewyczerpanym bogactwem narodowym. Potęgą jego twórczości może i powinna być natchnieniem dla współczesnego pokolenia, które buduje Polskę Ludową.

Trzeba, ażeby tegoroczne uroczystości 150-lecia narodzin wielkiego poety i wielkiego bojownika o prawdę i wolność otwały najszerzym rzeszom ludu polskiego dostęp do jego książek. Trzeba, aby ukazały Mickiewicza, jakim był naprawdę, aby ukazały go w pełnym świetle dnia, jako rewelatora najbardziej twórczych dążeń i zmagania Narodu Polskiego, jako artystę najpełniej ucieleśniającego w swych dziełach ideał sztuki polskiej, jako organizatora wyobraźni narodowej. Aby ukazały łączność jego sztuki z treścią życia ludu polskiego, z najbardziej wewnętrznym ruchem postępowym szerokich mas narodu, o którego sile nigdy nie zwątpił Poeta, który powiedział: „...Lecz wewnętrzny ogień sto lat nie wyzieje!”

Poznanie wielkiej drogi Poety, zrozumienie pełne i prawdziwe jego twórczości, to cel którego spełnieniu winny dać początek tegoroczne uroczystości, cel o zasadniczej wadze dla kultury Polski Ludowej.

„Poznanie kultury jest także kulturą” — powiedział jeden z wybitnych uczonych polskich. Wyposażenie kultury Polski Ludowej w to wszystko, co ma znamiona trwałości w narodowej kulturze musi dokonać się poprzez twórcze poznanie i przewartościowanie tradycji przy pomocy tych rzetelnych środków poznania, jakich dostarcza najnowocześniejsza metoda badań i filozofia kultury.

Okres historyczny zjawiska, któremu na imię Mickiewicz, wyznaczony jest dwoma wydarzeniami o znaczeniu światowym: wielką rewolucją francuską i Wiosną Ludów. W tym okresie mieści się cała

epopea napoleońska i utrwalanie się burżuazji na gruzach feudalizmu, i powstanie prawodawstwa demokratycznego w kodeksie Napoleona, i socjalizm utopijny i początki socjalizmu naukowego. W twórczości Mickiewicza rami to wyznacza z jednej strony — żywiona ideami wielkiej rewolucji „Oda do Młodości”, z drugiej — publicystyka „Trybuny Ludów”, oddychająca tym samym poczuciem braterstwa co „Oda do Młodości”, lecz nie stroniąca od terminologii ściśle politycznej, obejmująca historię nie tylko w kategoriach moralnych.

Wzlotów i upadków Mickiewicza niepodobna należycie wytłumaczyć bez przywołania na pomoc poszczególne historie, w których działał i tworzył. Wspaniała niejednorodność jego osobowości i stylu jest wynikiem skrzyżowania się w jego umyśle sprzecznych nurtów epoki.

Skupił w sobie wszystko co w romantyzmie europejskim było postępowe i twórcze: jego rewolucjonizm, jego myśl demokratyczną, jego skłonność do szerokiej syntez dziejowych, jego humanizm. Zarazem nie był wolny od tego, co w romantyzmie uważamy za prąd wsteczny. Przede wszystkim mowa tu o nurtach mistycznych, mających źródła w wielkim rozczarowaniu, które zwłaszcza po Kongresie Wiedeńskim dało się odczuć wśród mas ludowych Europy. Do tego rozczarowania dołączyły się nieszczęścia polskie, klęska powstania listopadowego, rozterka i bezwład emigracji.

Byłoby rzeczą nierozsądną wbrew prawdzie historycznej pasować Mickiewicza na socjalistę. Socjalizm jest dzisiaj ściśle określonym i jednoznacznym pojęciem. Mickiewicz był jedynie bliski socjalizmowi utopijnemu ze wszystkimi elementami plebejskimi, jako też z niektórymi religijnymi, mistycznymi zjawiskami tego ruchu. Tę religijność i ten mistycyzm wykorzystywała fałszywa legenda idąca za poetą, legenda, która porastała w pióra w miarę jak postać żywego człowieka, Adama Mickiewicza, spowijał coraz głębszy cień oddalenia. Ona to ukazywała Mickiewicza jako poetę — mistyka i jako poetę watykańskiego katolicyzmu, choć właśnie ten wielki Poeta narodowy potrząsnął ramieniem ziemskim kościoła, wołając, że „duch boży jest w bluzach robotników paryskich”. Jego słownictwo ewangeliczne było właściwą owym czasem stylizacją utopijnego programu przebudowy społecznej. O tym powinniśmy pamiętać.

Twórczość poety, jak zwierciadło o tajemniczej głębi, odbijała w sobie i ogniskowała dramat najlepszych ludzi Polski ówczesnej, kraju zafanowanego społecznie, ludzi, którzy szukali wyjścia z zamętu sprzecznych dążeń i zmagania Europy w połowie XIX wieku.

W walce Mickiewicza o szczęście narodu i ludzkości oblekły się w słowa szla-

chetne dążenia tych polskich bojowników postępu, którzy choć sami wywodzili się z wymierającej klasy społecznej, torowali drogę kulturze klas młodych i silnych. Dlatego mógł Stanisław Worcell powiedzieć o „Panu Tadeuszu”, że dzieło to stanowi „przejście ze zmarłego do żyjącego pokolenia, bratając tym sposobem przeszłość z przyszłością, a z grobu wydobywając zaród przyszłego naszego życia”. Wielkość Mickiewicza to potężny wyraz zmagania, upadków, wzlotów jasnowidztwa i zamroczeń, to żywy proces przewycięzania martwej przeszłości społecznej przez zwiastuna przyszłości, bojownika demokracji. Mickiewicz — trybun ludów znalazł u schyłku życia twarzą, niełatwą drogę postępu.

Był człowiekiem czynu, nie tylko poetą czynu. Osiągnął tak wielką czystość moralną, że mógł powiedzieć, on, który z takim trudem pisał: „Trudniej dzień dobrze przeżyć niż napisać księgę”. Był człowiekiem walki. Jego poezja kontynuowała wojnę z uciskiem narodowym i absolutyzmem wtedy, gdy ucichły armaty listopadowe. Ale walka ta nie była ślepa. Był poetą wolności ludów, pragnął wolność wywalczyć nie tylko dla własnego narodu. Walcząc z caratem, z tyranją największą w ówczesnym świecie, jawnie i z „prostotą gołębia” wyznawał swoją miłość dla ludu rosyjskiego, dla jego bojowników o wolność, dla dekabrystów, z którymi był związany przyjaźnią, dla wielkich mas narodu rosyjskiego, cierpiącego na równi z polskim uciskiem samodziurawia. Był wrogiem tyranii carskiej, i marzył o tym, by pieśni jego zwiastowały wolność uciśnionym. Był patriotą, nie był nigdy szowinistą. Marzył o dniu, gdy narody świata połączą się w zgodną rodzinę. Z siłą godną wielkiego rewolucjonisty piętnował ucisk i kłamstwo ustroju ówczesnej Europy i wroził jej zagładę, on wygnaniec, splewany sprzecznościami swojej ojczyzny i swego wieku.

Niespełnionym rewolucjonistą był Mickiewicz w swojej sztuce. Mickiewicz-artysta wciąż jeszcze fascynuje i wciąż jeszcze twórczość jego pełna jest niespodzianek dla tych, którzy się nad nią nachylają, chcąc ją na nowo odczytać. Rewolucjonizm jego mowy jest bodaj gwałtowniejszy jeszcze od radykalizmu jego dążeń i przekonań. Trzeba czytać to wszystko, co było przed nim, by zrozumieć jak potężnie wstrząsnął mową polską. Trzeba czytać inwektywy klasyków warszawskich, by uprzytomnić sobie jaką to rewolucję w kraju poezji przeprowadził filomat wileński. Mowa potoczna, mowa ludu wstrząsnęła dzięki niemu do wysłizganych salonów poezji. Wchodziła nie jak uboga krewna. Żądała równouprawnienia i zdobywała je wytrącając z równowagi konwencjonalne, gładkie zwroty arystokratycznych poetów Polski od-

chodzącej w przeszłość. Lud polski, choć jeszcze nie wyzwolony z niewoli feudalnej, w mowie „Ballad” i „Dziadów” uzyskał prawo obywatelstwa. I kiedy później w „Panu Tadeuszu” porówna Mickiewicz brzoze do wieśniaczki, która płacze syna, porównanie to będzie miało dźwięk pełny i obowiązujący, choć protestował przeciw niemu zapewne niejednen Gerwazy.

Sam Mickiewicz w prostocie mowy „Pana Tadeusza”, którą porównywał do prostoty piosenek ludowych, widział ludowość swego szlacheckiego poematu, on, który nie posługiwał się słowami, lecz tworzył naród słów. „Pan Tadeusz” po III części „Dziadów” sprawia wrażenie niebywałego uciśnienia żywiołu mowy Mickiewicza. Tam w tym okrutnym dramacie mowa poety jest burzliwa i szorstka, zjadliwa i pałająca. Wtargnęła do tego dramatu rzeka potocznego słownictwa, wspaniale prozaiczna, wroga wszelkiej poetyczności. Mowa ta nawet we wzlotach godnych tragediopisarzy antycznych trzyma się ziemi bardzo rzeczywistej.

W wierszach powstańczych język żołnierski, terminy wojskowe, ściśle określanie sytuacji, wszystko to, co wydawało się wówczas niepoetyczne i na co powstawał nawet stary Niemcewicz, tak przychylny poecie — oddawało tę poezję bezimiennej masie prostych ludzi. Poezja Mickiewicza wypowiada najdoskonalej w naszej literaturze sferę uczuć, porywów, myśli człowieka tak pełnego, jak tylko umie być lud w momencie największego napięcia swych sił żywotnych.

Poezja Mickiewicza wyraża nieustanną walkę o doskonalsze formy. Oświecona jest takimi blaskami, że mówi już nie o nadziei, ale o zwycięstwie, nawet wtedy, gdy przedstawia wydarzenia smutne i bolesne. Odczuł to najlepiej drugi wielki poeta polski mówiąc o „Panu Tadeuszu”:

„Jednak się przed tym poematem wali Jakaś ogromna ciemności stolica”.

Nawet pisane w okresie żalu i rezygnacji cudownie piękne liryki lozańskie dają taką pełnię ludzką, że narówni z innymi utworami poety otwierają dalekie krajobrazy, jak gdyby pierwsze gaje Ziemi Obiecanej, ziemi przyszłości. O niej, o przyszłości, która należeć będzie do ludów, nigdy nie przestał marzyć łamany sprzecznościami swojego wieku, ten wielki poeta i człowiek czynu, trybun ludowy i organizator legii polskich, on który śmiercią w obozie wojennym przypieczętował zgodność między swym życiem i swoją poezją.

Uczmy się rozumieć coraz lepiej wielkość tej głęboko — ludzkiej i przy całej swej złożoności prostej, prawdziwie ludowej poezji.

Mieczysław Jastrub

^{*)} Referat wygłoszony dnia 5 listopada w Belwedrze na uroczystym posiedzeniu inauguracyjnym Ogólnopolskiego Komitetu Wykonawczego Uczenia 150-lecia urodzin Adama Mickiewicza.

ADAM SCHAFF

KLASOWY CHARAKTER FILOZOFII (II)

KLASOWOŚĆ NAUKI A OBJEKTYWIZM NAUKOWY

Z racji niezaprzecznego wpływu interesu klasowego na kierunek badań i na stanowisko jakie badacz zajmuje, klasowa charakterystyka nauki, a więc i filozofii, jako burżuazyjnej względnie proletariackiej, jest w pełni sensowna. Wyłania się jednak w związku z tym dalsze pytanie: czy klasowość nauki nie jest zaprzeczeniem jej obiektywności i czy nie należy w konsekwencji wysnuć stąd pesymistycznych wniosków co do samej możliwości rozwoju nauki? Czy ma sens charakteryzowanie marksizmu jako najbardziej postępowej nauki doby dzisiejszej, jeśli każda nauka jest w gruncie rzeczy tworem określonej grupy społecznej i nie posiada waloru powszechnego?

Zacznijmy od wyjaśnienia na czym polega obiektywizm nauki.

Teoretycznie uznaje się wpływy kształtujące psychikę człowieka w ogóle, a zatem i naukowca; niemniej obrońcy „czystej” nauki uparcie głoszą — niby dogmat — zasadę bezpartyjności, ponadklasowości, krótko mówiąc, „idealnie bezinteresownego” charakteru nauki. Twierdzą oni, jak już podkreśliliśmy, że nauka nie może być klasowa, partyjna, postępową czy reakcyjną. Nauka bowiem — powiadają — jest wtedy tylko nauką, gdy „obiektywnie” ujmuje rzeczywistość. „Obiektywnie” zaś znaczy dla nich tyle, co „w sposób powszechnie ważny”, tzn. jakoś w sposób niezmienny, ważny zawsze i dla wszystkich; i to znaczenie „absolutny” podsuwają pod „obiektywny” przeciwstawiając je „subiektywnemu”, stwarzając pozór, że kto odrzuca absolutyzację poznania, ten popada w subiektywizm. Błąd takiego stanowiska polega na utożsamianiu ideału nauki z jego faktyczną, rozciągłą w czasie realizacją. Stosunek tej realizacji do ideału nauki zależy od tego, jak w nauce odbija się obiektywna rzeczywistość, jakie granice wyznaczają doskonałości tego odbicia historyczne warunki poznania (tradycja naukowa, osiągnięty stan wiedzy, interesy klasowe zagrożone postępowaniem nauki itd.). Stąd jakoś, zasięg i zasób tego, co się przyjęło nazywać ogólnie nauką, jest różny w różnych czasach, pod różnymi stopniami geograficznymi i zależnie od różnych okoliczności specjalnych. Ze nie wolno utożsamiać nauki rozwijającej się w konkretnych warunkach miejsca i czasu z ideałem nauki w ogóle, świadczą sam rozwój nauki, jej cały postęp, który wszak polega na ciągłym przekraczaniu granic już przebytych etapów, na stałym wykazywaniu, że wcześniejsze osiągnięcia były niepełne lub wręcz błędne. Cóż pozostało np. w fizyce lub przyrodznawstwie z tego, co uchodziło za ostatni wyraz nauki sto lat temu? Oczywiście nie była ona poznaniem absolutnym, ale czy przez to nie była w określonych warunkach obiektywna? Obiektywizm jest bowiem również historycznie uwarunkowany i posiada tylko historyczne, zmienne znaczenie. Dlatego też niedoskonałość nauki klasowej, jej konkretno - historyczne odniesienie samo przez się jeszcze nie przekreśla jej waloru ani nie przeczy jej obiektywności. Nauka jest obiektywna, jeśli w danych warunkach historycznych daje odbicie rzeczywistości, odpowiada historycznie osiągniętemu poziomowi wiedzy o świecie i stwarza możliwości dalszego jej rozwoju w konkretnych warunkach. Obiektywność nauki jest więc równoznaczna z jej postępowością.

W tym świetle ocena materializmu dialektycznego, jako klasowej filozofii proletariackiej, wypada zupełnie inaczej, niż to wynika z oceny jego przeciwników, którzy w klasowości widzą jakieś znamię antynaukowości. Otóż właśnie dlatego, że marksizm jest klasową nauką proletariacką, jest on najbardziej postępową, a tym samym najbardziej obiektywną nauką współczesności. Nauka nie może nie być klasowa. Kwestia na tym tylko polega, jakiej klasie dana nauka służy, czy klasie dążącej do postępu społecznego, czy też klasie reakcyjnej, dążącej do zahamowania tego postępu. Od tego zależy jej postępowy względnie wsteczny charakter, a w konsekwencji jej obiektywizm i naukowość. Nauka służąca klasie postępowej musi być postępową, a więc obiektywną i przodującą; nauka służąca klasie wstecznej musi być wsteczna, a więc i nieobiektywna. Idzie tu oczywiście o jej ogólną tendencję rozwojową, o jej możliwości rozwojowe, a nie o szczegóły. Może być i tak, że w jakiejś szczegółowej dziedzinie nauka wsteczna góruje nad postę-

pową, że wykazuje większe, niż ona osiągnięcia; ale to nie zmienia postępowego charakteru jednej i wstępnego — drugiej. W tym właśnie sensie góruje nauka proletariacka - postępową nad burżuazyjną - wstępną. Ta ostatnia w niejednej jeszcze dziedzinie góruje nad nauką proletariacką, nauką młodszą, która zresztą napotykała i napotyka ogromne trudności obiektywne na drodze swego rozwoju, jak długo panuje kapitalizm. Ale np. to, że nauka burżuazyjna lepiej rozwinięła technikę logiki formalnej, niż nauka proletariacka — marksizm, nie zmienia faktu, że pierwsza w swym założeniu i tendencjach jest reakcyjna, a druga — postępową. Jeśli bowiem interes klas posiadających w większym lub mniejszym stopniu hamuje badania, które w swych wynikach mogą się okazać tym interesom przeciwnie, to proletariacki — jako klasa nie posiadająca, nie związana interesem z ustrojem kapitalistycznym, nie stawia żadnych ograniczeń poznaniu obiektywnej prawdy. Dla proletariatu nie są straszne żadne wnioski, jakie nauka może wysnuć z badań rzeczywistości, gdyż wnioski te stanowią naukowy fundament społecznego postępu, o którym walczy proletariacki. Dlatego filozofia proletariatu jest najbardziej obiektywna. Dlatego postępową nauka znajduje dziś opiekuna w proletariacie, podobnie jak w epoce walki przeciw feudalizmowi znajdowała go z podobnych powodów w rewolucyjnej burżuazji. Proletariat jest klasą postępową, ponieważ jego interes klasowy jest identyczny ze sprawą postępu społecznego. Nauka proletariacka — marksizm - leninizm, właśnie dlatego, że jest klasową nauką proletariatu — najbardziej postępowej klasy społeczeństwa kapitalistycznego, jest najbardziej postępową i obiektywną nauką doby obecnej, nauką posiadającą nieograniczone możliwości rozwoju. W tym sensie więc, klasowość marksizmu nie tylko nie popada w sprzeczność z jego naukowością, lecz wręcz przeciwnie jest tej naukowości najtrwalszą i najsilniejszą gwarancją. Stąd też czujność i namiętna walka marksizmu przeciw nauce burżuazyjnej posiada obiektywnie postępowy charakter i jest drogą do prawdziwego postępu nauki.

PARTYJNOŚĆ MARKSIZMU

Co oznacza więc w rezultacie klasowość nauki? Reasumując: Oznacza ona, że nauka, jak w ogóle wszelka forma ideologii, kształtuje się pod przemożnym wpływem interesu klasowego tej grupy społecznej, do której należy autor danych poglądów. Każda nauka jest więc nosicielką interesu określonej klasy społecznej i wyraża go w dziedzinie teorii. Tak czy inaczej poglądy naukowe łączą się z praktyką społeczną, z polityką, pomagając w kształtowaniu się postępowych względnie wstępnych ruchów społecznych i dzięki temu posiadają wyraźny klasowy charakter. Nie oznacza to, że z punktu widzenia autora danych poglądów ich klasowość musi być procesem uświadomionym, ani też, że jedynym i wystarczającym wskaźnikiem charakteru danej teorii jest pocho-

dzenie klasowe jej twórcy; jeśli bowiem w skali masowej, statystycznie pochodzenie klasowe pozwala nam wnioskować o przekonaniach danej jednostki, to nie wyklucza to możliwości przechodzenia na stronę innej klasy. Teza o klasowym charakterze nauki chce podkreślić tylko to, że wobec mobilizującej i organizującej siły ideologii, wobec tego, iż teoria, która oświadcza masami staje się potęgą materialną, walczącą w społeczeństwie klasy nie mogą pozostać obojętne wobec walki ideologicznej, nie może im być wszystko jedno jaka teoria zdobywa masy, i że w rezultacie nacisk interesu klasowego na należącego do tych klas twórców ideologii powoduje konieczność klasowego jej kształtowania, jej dostosowania do wymogów i potrzeb danej klasy. Ta zależność nauki od klasowego interesu jej twórców może być bądź bodźcem dla obiektywnego odbicia rozwoju rzeczywistości, bądź hamulcem; ona też decyduje o postępowym względnie wstępnym charakterze danej ideologii. Zależy to od charakteru klasy, której ta ideologia służy.

To, co jest kwestią faktu w dziedzinie każdej ideologii, zostało podniesione do godności zasady w ideologii marksistowskiej. Marksizm jest bodajże jedyną ideologią, która świadomie i otwarcie stawia sprawę swego klasowego charakteru, swoje powiązanie z interesami określonej klasy społecznej, której służy. Jest też ona jedyną ideologią, która może sobie społecznie pozwolić na takie samopoznanie. Jest ona bowiem — w przeciwieństwie do ideologii klas eksploatatorskich nie tylko ideologią klasy uciemnionej, ideologią postępu społecznego, lecz również ideologią, która jest orężem w walce o przezwyciężenie społeczeństwa klasowego a wraz z nim i klasowej nauki, klasowej ideologii.

Stawiając jasno sprawę swojej klasowości, marksizm konsekwentnie deklaruje swoją partyjność.

„Ostra partyjność” — pisze na ten temat Lenin — jest zjawiskiem towarzyszącym i rezultatem wysoko rozwiniętej walki klasowej. I, na odwrót w interesach otwartej i szerokiej walki klasowej konieczne jest rozwinięcie ostrej partyjności. Dlatego partia świadomego proletariatu, socjal-demokracja, zupełnie słusznie walczy zawsze z bezpartyjnością i ciągle pracuje nad stworzeniem konsekwentnej w zasadach, silnie zjednoczonej socjalistycznej partii robotniczej. Praca ta ma sukces w masach w miarę tego, jak rozwój w kapitalizmie powoduje coraz głębsze rozbięcie całego narodu na klasy, zaostrzając między nimi sprzeczności.”

Ta zasada partyjności rozciąga się konsekwentnie i na ideologię. Ideologia, mobilizując i organizując masy, jest związana z walką klas, a więc jest konsekwentnie związana i z walką partii — tego najwyższego wyrazu zaostrzonej walki klas. Jest ona klasowa, a więc i partyjna.

4) Lenin, dzieła t. 10, IV wyd., str. 57

QUINTUS HORATIUS FLACCUS

przełożył JACEK BOCHENSKI

DO POSTUMUSA

Niestety, Postumusie, do ucieczki skoro
Lata szybko mijają i żadna moralność
nie oddali uwiadu ani nastającej
starości ani śmierci, której nie poskromisz.
A mógłbyś przyjaciela, dzień w dzień ofiarami
z trzystu wołów Plutona błagać. Lecz on placzu
nie słucha, tęszych bowiem ujarzmi tytanów
żałobną wodą Styksu, gdzie wszyscy zawiną,
którzy się dobrem ziemi pożywają krótko.
Szarówno monarchowie jak nędzarze wiejscy.
Daremnie będziesz strzec się krwawych walk na wojnie
i burzliwej topieli wód Adriatyku,
daremnie bać się wiatrów i zimnego deszczu
który szkodzi w jesieni zdrowiu twego ciała.
Zobaczysz czarne fale Kocytośu, nurtem
wlokące się leniwym, i Danaid hańbę
i Szyfii Eolowego mękę wieczną.
Porzucisz nieuchronnie ziemię, dom i żonę
która ci się podoba, a z drzew coś je sadił,
nie podąży za tobą, właścicielem krótkim,
żadne prócz nienawistnych cyprysów cementarnych.
Lepszy dziedzic zagarnie cekubskie gąsiorzy
strzeżone sełką kluczy. Posadźcie pałacu
pozalewa likworem arystokratycznym,
wartym więcej niż wino uczt arcykapłańskich.

Partyjność ideologii wpływa z jej związków z polityką; partyjność filozofii wpływa z tegoż właśnie źródła. Istnieje powiązanie między filozofią a polityką, mimo prób filozofów ulatywania w najbardziej odległe obłoki abstrakcji, mimo ich prób przeczenia łączności ich nauki z polityką, prób przeczenia klasowości i partyjności ich nauki.

„Ani jednemu z tych profesorów — pisze Lenin w „Materializmie i empirio-krytycyzmie” — zdolnych do tworzenia najcenniejszych prac w specjalnych dziedzinach chemii, historii, fizyki, nie można wierzyć ani jednego słowa, gdy chodzi o filozofię. Dlaczego? Dla tej samej przyczyny, dla której ani jednemu profesorowi ekonomii politycznej, zdolnemu do tworzenia najcenniejszych prac w dziedzinie faktycznych, specjalnych badań, nie można wierzyć ani jednego słowa, gdy chodzi o teorię ogólną ekonomii politycznej. Albowiem ta ostatnia jest tak samo partyjną nauką o społeczeństwie współczesnym jak i gnoseologia.”

To zrozumienie i konsekwentne podkreślanie partyjności filozofii, które kulminuje w postulacie zajmowania partyjnego stanowiska w każdym sporze przez zwolenników filozofii marksistowskiej, wpływa z głęboko uświadomionego czynnego, przekształcającego rzeczywistość charakteru tej filozofii. Podkreślenie tego momentu jest niezwykle ważne dla właściwego ujęcia istoty materializmu dialektycznego i zrozumienia jego wywodów.

Biologiczną funkcją poznania, a w szczególności poznania naukowego, jest przystosowanie się społeczeństwa do walki o byt, do walki z przeciwnymi siłami przyrody. Sens poznania, a w szczególności poznania naukowego, leży więc w ulepszeniu, w udoskonaleniu działania człowieka.

Człowiek poznaje oddziałując na otaczającą go przyrodę, ale swoją drogą poznając przyrodę potrafi lepiej na nią oddziaływać. Funkcją nauki jest więc działanie, przekształcanie rzeczywistości. Im lepiej nauka to rozumie, tym lepiej może wypełnić stojące przed nią zadanie. Jest wielką zasługą marksizmu, że te sprawę stawia przed filozofią jako naczelne jej zadanie; tym bardziej, że im wyżej podnosimy się w dziedzinie abstrakcji, tym bardziej zamużony zostaje właściwy stan rzeczy — powiązanie nauki z działaniem, i tym trudniejsze jest w związku z tym zrealizowanie właściwego celu nauki.

„Filozofowie, jedynie różnymi sposobami objaśniali świat — pisze Marks w swych „Tezach o Feuerbachu” — chodzi jednak o to, aby go zmieniać.”

Idzie tu faktycznie nie o deklarację jedynie, lecz o dewizę naczelną, bez zrozumienia której zamknięte są przed nami drogi do zrozumienia marksizmu, a w szczególności filozofii marksistowskiej. „Na początku był czyn” — powiada Faust Goethego; „...i jest on celem ostatecznym” — dodaje marksizm. Stąd aktywistyczny charakter jego filozofii, stąd jej najbliższa łączność z nauką o rozwoju społecznym, stąd wypisane na jej sztandarze hasła: klasowości i partyjności. Jeśli klasowość jest dla marksizmu gwarancją obiektywności i postępowości jego teorii, to partyjność jest tylko tej obiektywności i postępowości konsekwencją.

Stojąc na stanowisku partyjności „należy umieć — jak powiada Lenin — zastosować tę ogólną prawdę do poszczególnych zagadnień i do poszczególnych wypadków...” Należy, oczywiście umieć ją zastosować i do konkretnego wypadku filozofii.

PROLETARIACKA PARTYJNOŚĆ W FILOZOFII

W czym wyraża się dziś proletariacka partyjność w dziedzinie filozofii? Najogólniej rzecz biorąc, w wyraźnym ograniczeniu dwu obozów w filozofii — materializmu i idealizmu, i w zdecydowanej obronie materializmu dialektycznego z wszystkimi zeń wypływającymi konsekwencjami

Na przestrzeni historycznego rozwoju filozofii mamy do czynienia z całym mnożstwem szkół i szkółek, kierunków i poglądów, najrozmaitszych „izmów”, od których roi się szczególnie doba współczesna. Powszechnie wśród filozofów panują-

5) Lenin; Marks — Engels — Marksizm, „Książka” 1948, str. 214

6) Karol Marks, Dzieła wybrane, tom I, „Książka” 1947, str. 429

ca jest akademicka choroba „oryginalności”, która potężnie pobudzała rozradanie się tych „izmów”. W rezultacie, można się rzeczywiście zagubić w gąszczu subtelnych różnic między rozmaitymi szkołami i systemami filozoficznymi, jeśli byliby posługiwali się przez nie proponowanymi kryteriami rozpoznawczymi. Jedną z zasług materializmu dialektycznego jest wprowadzenie prostego kryterium podziału filozofów na dwa obozy wedle podstawowego kryterium, którego konsekwencją są wszelkie kryteria pochodne. Tym sprawdzianem jest rozwiązanie zagadnienia stosunku czynnika duchowego do materii. W zależności od sposobu jego rozwiązania, w zależności od tego, który czynnik jest przez dany kierunek uznany za podstawowy i pierwszy w czasie, marksizm dzieli wszystkie kierunki filozoficzne na materialistyczne i idealistyczne.

„Czy za pierwotne — pisze Lenin — uważać przyrodę, materię, to, co fizyczne, świat zewnętrzny, za wtórne zaś — świadomość, duch, czucie (doświadczenie, według rozpowszechnionej w naszych czasach terminologii), to, co psychiczne itp... oto zasadnicza kwestia, która w rzeczywistości nie przestaje dzielić filozofów na dwa wielkie obozy. Źródło tysięcy i tysięcy błędów i gmatwaniny w tej dziedzinie na tym właśnie polega, że za pozorami terminów, definicji, scholastycznych wykrętów, słownych wybiegów nie dostrzegają się tych dwu podstawowych tendencji...”⁴⁾

Na przestrzeni całej historii filozofii można wykazać istnienie tych dwu zasadniczych kierunków w filozofii: materializmu i idealizmu. Można też wykazać ich ścisłą łączność z podziałem społeczeństwa na klasy, z walką klasową. Istnienie wrogich kierunków ideologicznych, a w szczególności wrogich kierunków filozoficznych, jest związane z istnieniem w społeczeństwie antagonicznych klas, których interesy i walkę odbija ideologia.

Robiąc historyczny przegląd rozwoju filozofii można stwierdzić, że z reguły materializm jest filozofią klas postępowych, a idealizm — filozofią klas wstecznych. Byłoby jednak wypaczeniem marksizmu, wpływającym z niezrozumienia względnej samodzielności ideologii, gdybyśmy chcieli ten podział absolutyzować; rozwój ideologii w pewnych granicach zależy przecież nie tylko od materialnych warunków bytu. Widzimy też w historii fakty, które wykraczają poza normalną linię podziału, bądź w jedną, bądź też w drugą stronę: materializm bywał przecież również orężem ideologicznym reakcji (np. w Anglii XVII wieku), a niedojrzałe klasy rewolucyjne wyrażały również niekiedy swoje dążenie w filozofii idealistycznej (np. teoria prawa natury, częściowo — socjalizm utopijny). Jednakże sama istota filozofii idealistycznej, jej negacja obiektywnej rzeczywistości i obiektywnej konieczności rozwoju, jej związek w ostatniej instancji z fideizmem z religią, czynią z niej niezwykle dogodny oręż ideologiczny w ręku klas wstecznych. Jaka ideologia bowiem nada się bardziej do apologii istniejących stosunków, do negacji jakiegokolwiek konieczności ich zmiany, do usprawiedliwienia istniejącego stanu wolą istoty wyższej, do szerzenia ducha pokory i uległości wśród niezadowolonych, do ich demobilizacji — aniżeli idealistyczna filozofia?

We współczesnym społeczeństwie linia podziału między walczącymi klasami jest też wyraźną linią podziału między idealizmem, a współczesnym materializmem — materializmem dialektycznym. I właśnie dzięki temu, że każda filozofia jest klasowa i partyjna, żadna z nich nie może uniknąć tego zaszeregowania w jednym z obozów: za czy przeciw materializmowi, tzn. w konsekwencji: za czy przeciw ruchowi robotniczemu, za czy przeciw postępowi społecznemu. Zresztą ten proces podziału, początkowo często nieświadomy, staje się w miarę zaostrzenia walki klasowej coraz wyraźniejszy i coraz bardziej świadomy. Coraz częściej antymaterialistyczna pozycja wypływa wręcz ze świadomości autorów, że materializm jest filozofią proletariatu, że jego przedłużeniem jest materializm historyczny, i że poparcie materializmu jest pośrednio poparciem ruchu robotniczego.

W społeczeństwie klasowym próba wyjścia poza ten wyraźny podział, próba zamazania ideologicznego oblicza dzisiejszej doby, jest faktycznie poparciem idealizmu. Partyjność marksizmu nie tylko na tym polega, że zajmuje on zawsze stanowisko określonej klasy społecznej, lecz i na tym, że wykrywa odstępstwa od materializmu innych kierunków, określając tym samym ich klasową istotę.

„Marks i Engels — pisze Lenin w „Materializmie i empiriokrytycyzmie” — od początku do końca byli partyjni w filozofii, umieli wykrywać odstępstwa od materializmu i ustępstwa na rzecz idealizmu i fideizmu we wszystkich i wszelkich „najnowszych” kierunkach. Dlatego też oceniali Huxleya wyłącznie z punktu widzenia konsekwentności jego materializmu. Dlatego zarzucali Feuerbachowi, że nie przeprowadził materializmu do końca — że wypierał się materializmu z powodu błędów poszczególnych materialistów, — że walczył z religią w celu odnowienia lub stworzenia nowej religii, — że w socjologii nie potrafił wyzbyć się idealistycznego frazesu i stać się materialistą.

I tę największą i najcenniejszą tradycję swych mistrzów w szczególności ocenił i przejął J. Dietzgen, bez względu na jego poszczególne błędy w wykładzie dialektycznego materializmu... „Ze wszystkich partii — słusznie twierdził Józef Dietzgen — najnikczemniejsza jest partia środka... Jak w polityce partie coraz bardziej grupują się w dwóch tylko obozach... tak samo i nauka dzieli się na dwie podstawowe klasy (Generalklassen): tam — metafizycy, tu — fizycy, czyli materialisci. Elementy pośrednie i pojedynczo-szarlatani pod różnymi nazwami, spirytualiści, sensualiści, realiści itd. itd. popadają na swej drodze to w ten, to w ów prąd. My żądamy stanowczości, chcemy jasności. Idealistami mianują siebie reakcyjni obskurancl, materialistami zaś winni nazywać się ci wszyscy, którzy dążą do wyzwolenia umysłu ludzkiego od galimatiasu metafizycznego... Jeśli porównamy obie partie z czymś stałym i płynnym, to w środku będzie coś na kształt papki”.

Prawda! — dodaje Lenin. „Realisci” itp., włączając tu „pozytywistów”, machistów itd., wszyscy razem — to niedźna papka, pogarda godna partia środka w filozofii, w każdej poszczególniej kwestii płacząca kierunek materialistyczny i idealistyczny. Próby wyskokoczenia z tych dwóch zasadniczych kierunków w filozofii nie zawierają w sobie nic prócz „pojedynczej szarlatanerii”⁵⁾

Walka przeciw odstępstwom od materializmu, materialistyczna partyjność w filozofii oznacza zdecydowaną walkę przeciw próbom zamazywania swej klasowości przez poszczególne kierunki filozoficzne, demaskowanie tych prób, zwłaszcza prób rzekomego stawiania „ponad materializmem i idealizmem”. Ma to szczególne znaczenie zwłaszcza w dobie obecnej, gdy walka przeciw materializmowi odbywa się najczęściej nie wprost, a drogami określonymi, nie z pozycji wyraźnego i zdeklarowanego idealizmu, lecz rzekomo wznosząc się „ponad” podział na dwa obozy.

Jak aktualnie brzmią dziś słowa, w swoim czasie zwrócone przez Lenina przeciw empiriokrytycyzmowi.

„Spójrzcie teraz — pisal Lenin — z punktu widzenia partii w filozofii, na Macha i Avenariusza wraz z ich szkołą. O ci panowie chępią się swoją bezpartyjnością i jeżeli mają antypode, to tylko jednego i tylko... materialiste. Poprzez wszystkie pisaniny wszystkich machistów, jak nie czerwona ciagnie się tepogłowa pretensja, by „wzniesić się wyżej” ponad materializm i idealizm, przewyciężyć to

„przestarzałe” przeciwstawienie, a w rzeczywistości całe to bractwo co chwila ześlizguje się w idealizm prowadząc nieustanną i zaciętą walkę z materializmem. Wyrafinowane gnoseologiczne wykrętały jakiegokolwiek Avenariusza pozostają profesorskim wymysłem, próbą założenia „swojej” maleńkiej filozoficznej sekty, zaś w rzeczywistości, w ogólnych warunkach walki idei i kierunków współczesnego społeczeństwa, obiektywna rola gnoseologicznych forteli jest jedna i tylko jedna: oczyszczać drogę dla idealizmu i fideizmu, wiernie im służyć. W samej rzeczy nie jest przecież przypadkiem, że za małą szkółką empiriokrytyków wloką się zarówno angielscy spirytualiści w rodzaju Warda, jak francuscy neokrytycyści, chwalcący Macha za walkę z materializmem, jak niemieccy immanenci. Formuła J. Dietzgena: „dyplomowani lokaje fideizmu” uderza celnie w Macha, Avenariusza i całą ich szkołę”⁶⁾

Tyle Lenin. Spróbujmy jednak zastosować jego słowa do modnych dziś kierunków filozoficznych: okaże się, że są one w pełni słuszne i w odniesieniu do nich. Neopozytywizm pretendujący do miana filozofii naukowej jest faktycznie przedłużeniem empiriokrytycyzmu. I on stara się wzniesić ponad „przestarzałą” problematykę materializmu i idealizmu, dekretując, że jej zdania są „bezsensem”. Ale i neopozytywizm nie może wyjść poza deklarację: faktycznie milcząco akceptuje tę problematykę, stając na gruncie idealizmu. Empiriokrytycyzm wynalazł słówko „element”, które jakoby miało być neutralne wobec idealizmu i materializmu; faktycznie ten osławiony „element” zaprowadził Macha do subiektywnego idealizmu. Podobnie neopozytywizm wynalazł słówko „dane” (das Gegebene), które również miało być neutralne wobec idealizmu i materializmu; faktycznie zaprowadziło ono neopozytywizm na podwórko subiektywnego idealizmu. Inaczej być nie może. Można deklarować, że się przewyciężyło problematykę materializmu i idealizmu, ale przewyciężyć jej nie można, ponieważ nie można ominąć zasadniczej problematyki poznania. Przemilczenie tej problematyki, słowne jej odrzucenie nie jest faktycznym jej przewyciężeniem. Zagadnienia filozoficzne są tak ściśle ze sobą powiązane, że rozwiązanie każdego z nich zakłada wszystkie inne. Dlatego też problem pominięty w jednym punkcie znajduje ujście w innym. Żaden system filozoficzny nie może się obejść bez kryterium prawdy. Ale wprowadzając to kryterium, wprowadzamy milcząco problematykę ontologiczną i epistemologiczną w jej podstawowych punktach. W tej czy innej formie znajdujemy też problematykę materializmu i idealizmu w każdym systemie filozoficznym.

Partyjność filozofii marksistowskiej jest więc przedłużeniem, konsekwentnym wyrazem jej klasowości. Występuje ona nie tylko w formie zajmowania partyjnego stanowiska w każdym zagadnieniu, lecz i w wykrywaniu tego partyjnego stanowiska u przeciwników. Ten partyjny charakter nadaje filozofii marksistowskiej jej bojowy, polemiczny ton — wyraz świadomości jej związku z praktyką społecznego życia, z polityką.

Adam Schaff

⁴⁾ Lenin, op. cit., str. 211—212

⁶⁾ Lenin, op. cit. str. 213

Z WYSTAWY PRAC ZYGMUNTA KAROLAKA W GALERII MIEJSKIEJ W ŁODZI



Czarna faroa — tusz Zbieranie gruzów



ZJAZD POLONISTÓW

DWANAŚCIE lat temu walne zebranie Koła Polonistów studentów uniwersytetu warszawskiego uchwalilo rezolucję, żądającą unaukowania studiów humanistycznych, wprowadzenia metody marksistowskiej i stworzenia katedry marksizmu. Dwa tygodnie temu zjazd uniwersyteckich kół polonistycznych z całego kraju, który obradował w Łodzi uchwalil rezolucję, domagającą się unaukowania studiów humanistycznych i wprowadzenia marksizmu na uniwersytety.

W tych dwóch uchwałach, które dzieli dwanaście lat, nie ma nic zadziwiającego, zadziwiające jest tylko jedno, że marksizmowi jak nie było na uniwersytetach, tak i dalej nie ma. Humanistyka uniwersytecka, a zwłaszcza polonistyka i wszystkie filologie pozostała jakąś dziwną dyscypliną, nie związaną ani z życiem, ani z nauką, straszliwym przytułkiem wszelkiego rodzaju mistyk i mitologii z pierwszego ćwierćwiecza naszego wieku. Gdyby chociaż zrezygnując z twórczej pracy naukowej i śmiałego poszukiwania nowej syntezy podjęła ona ktośś z monumentalnych wydawnictw dawnych lat chwały: słownik języka polskiego, bibliografię czasopism za wiek XIX, krytyczne wydania tekstów i dokumentów literackich, jakiegokolwiek ze zbiorowych wydawnictw. Niestety, albo przyczynki, albo metafizyka.

W tych warunkach ferment, jaki zaczął się wśród młodej polonistyki, jest zjawiskiem niesłychanie optymistycznym. Młodzież dała więcej, niż można było oczekiwać. Zaczęło się to już na zeszłorocznym zjeździe w Krakowie. Grupa łódzka, broniąca nowatorstwa naukowego, była wtedy niemal osamotniona. Ale i tak nadała ton zjazdowi. Cały zjazd wypełniły zacięte dyskusje między zwolennikami metody socjologicznej i formalistami.

Jest jakaś smutna logika o zacołaniu naukowym naszych uniwersytetów. W ostatnich latach przed wojną formalizm, broniący zacięcie przez młodych badaczy, był kamieniem obrazy w uniwersyteckim ogródku, po wojnie stał się ostatnim szansem, z za którego bronią „naukowości” przeciwnicy metod historycznych.

Grupa łódzka krakowski zjazd wygrała, i objęła przewodnictwo związku kół polonistycznych. Zjazd łódzki, poświęcony poezji dwudziestolecia, miał już inny charakter. Dyskusje między socjologizmem a formalizmem zastąpił nowy spór, spór pomiędzy marksizmem a zwolennikami eklektyzmu naukowego. I to jest może najbardziej znamienne. Przeciwnicy marksizmu nowatorskim referatom nie prawie nie mogli przeciwstawić, ani poglądu na świat ani metody naukowej, ani zdecydowanych gustów artystycznych. Obrona eklektyzmu naukowego była przyznaniem się do porażki, żalosną próbą godzenia ognia z wodą, prawdy z metafizyką, nowatorstwa z zastojem umysłowym.

Srodowisko łódzkie nie było na tym zjeździe samotne. Wrocław i Kraków stanęły w jednym froncie z Łodzią. Ten ideowy podział, w którym Łódź, Wrocław i Kraków, znalazły się w jednym obozie, nie jest przypadkiem. Wystarczy, aby na humanistyce znalazł się jeden profesor, nie konieczne marksista, ale po prostu uczciwy historyk, nie mistyk, nie metafizyk, nie formalista, nie towiańczyk, aby wszczął się ferment umysłowy wśród młodzieży, aby zaczął pękać mur tępego oporu wobec myśli marksistowskiej, w oczywisty sposób dla młodych najbardziej naukowej i nowoczesnej. Ale jeżeli nawet takiego jednego nie ma, trudno się dziwić młodzieży.

Jeśli na Zjeździe Polonistów młody krytyk literacki niewątpliwie zdolny, niewątpliwie inteligentny, wypowiada z całą powagą twierdzenie, że właściwie zupełnie objętne są założenia naukowe byle tylko nie były ze sobą sprzeczne, bo i tak nie można nic powiedzieć o ich prawdziwości, darujcie! ale ktoś temu utalentowanemu chłopcu przewrócił w głowie.

Niestety, wbrew uniwersytetom młodzieży nie da się wychować. Warszawskie koło polonistów w ostatnim dziesięcioleciu przed wojną skupiało w sobie najbardziej nowatorską naukowo i antyfaszystowską politycznie młodzież. Wychowywali się sami, ale wychował nas także Czarnowski i Kotarbiński.

Kto wychowa młodą awangardę marksizmu na naszych uniwersytetach? **Kandyd.**

⁵⁾ Lenin: Marks — Engels — Marksizm, str. 207

SCEDZONE WINO ŻYCIA

(Dokończenie ze str. 3)

II

Jan Samuel:

— Wczoraj położyliśmy się wcześniej, chcieliśmy być wypoczęci przed rozstrzygnięciami, które miały nastąpić dzisiaj. Nie mogłem usnąć. Podchodziłem do okna, patrzyłem na niebo z księżycem jak ze sztandarów arabskich, słuchałem pomruku jeszcze pełnych ulic i znów wracałem na tapczan. Cisy mieszkania, w którym byliśmy tylko we dwoje nie mącił żaden głos snu. Mewa leżała czujna i nieruchoma jak zwierzę, ona także nie mogła usnąć. Położyłem rękę na jej brzuchu — Dziecko — rzekłem do niej; nagle zapomniałem jej imienia, ubywa mnie czasami jak piwa w kufiu, najbliższe sprawy odpływają z pierwszym przymknięciem powiek. — Dziecko, jeśli ci tak drogim był Mateusz, nie powinnaś była mi ulec. Nie wiem z czego, Mewo robisz tragedię? Wierność? Jaka wierność. Nie dość byłaś wierna człowiekowi, którego uważałaś za zmarłego? Wierność jest cnotą wymyśloną przez biedaków, nieznaną ani w twojej ani w mojej rodzinie; po wszystkich wioskach w okolicy biegali dzieci ze wspaniałymi rysimi oczami mojego ojca. Żaden rozsądny człowiek w dużym mieście nie żąda od kobiety, z którą żyje, wierności i żadna kobieta nie żąda jej od mężczyzny; to egzotyczny kwiat! Wierność miała może sens wtedy, kiedy można było planować na dwadzieścia lat naprzód, ale nie dzisiaj, kiedy nikt nie urządza nawet mieszkania, bo nie wiadomo, kto w nim zamieszka, nie dzisiaj, kiedy optymiści dają nam trzy lata pokoju, a pesymiści, kładąc się spać, stawiają obok łóżka buty turystyczne. W tym trzęsieniu ziemi zagryzać się dlatego, że wydasz się sobie mniej piękna? Nie wiem, z czego robisz tragedię? Zachowujesz się, jak gdybyś przyszła do mnie z klasztoru, a nie z podziemia. Czy nie widziałem, jak wyglądała miłość twojej generacji? Pośpiech i wyuzdanie. I słusznie, bo jak miała wyglądać w dymach krematoriów. Widziałem, co się działo podczas powstania, widziałem, co się działo po obozach. Zaszedłem raz do baru Niemca. Siedział z trzema kobietami. Jedna robiła mu manicure, druga pedicure, a trzecia walkir. Pamiętam sposób bycia szesnastoletnich dziewcząt. W każdym zdaniu: woda. Skąd do ciebie te zeszlówieczne tęsknoty? Skąd to nabożeństwo do miłości dzisiaj, kiedy mężczyźni, podnosząc się z łóżka, myślą sobie: jeszcze jedna, a kobiety — jeszcze jeden? Dzisiaj człowiek wychodzi po papierosy i wraca z żoną, a potem wychodzi po zapalki i wraca bez żony. Nie rozumiem, skąd ta przesadna wiara w miłość; wszyscy wiara tę już dawno stracili. Miłość dzisiaj, to albo radosny, albo bolesny, ale zawsze krótkotrwały grymas. Nie mów, żeś wylała kubał pomyj na swoje życie. Życie na tym właśnie polega! Nie wiesz o tym, bo mieścisz się cała w swoich osiemnastu latach, jak ja w swoich trzydziestu pięciu i tej różnicy, jak morza, nie da się zasypać. Dla ciebie niebo jest niebem, piekło — piekłem, wszystko bierzesz dosłownie. Z czasem przekonasz się, że wszystko to znaczki, kierunek. Kubał pomyj! — ależ to jest właśnie życie! Tylko że potem człowiek widzi, że pomyje rzadko kiedy są pomyjami, a źródłana woda tylko źródłaną wodą. Wiek, oto wielkie słowo w życiu ludzkim. Jesteśmy wszyscy z bardzo podobnego kruszcu. Zadręczasz siebie i mnie jakąś urojoną zdradą... — Znam! — przerwała mi nagle. — Znam to wszystko. Chcę mi zapewne powiedzieć, że moje drzewa znów mogą sięgać nieba, że Mateusz wrócił i upomina się o mnie. Wiem, że rozmawiałeś z nim, wiem, żeś wyraził gotowość oddania mi. Napisał mi o tym szczegółowo. „Nie rób tragedii, Mewo. Z jednym było ci niedobrze, spróbuj z innym; tak postępują wszyscy!” Zwracasz po użyciu. Teraz będziesz mógł spokojnie wyjechać, a bałeś się, że może będzie inaczej. — Więc już wiesz Mewo? Tym lepiej, że wiesz. Mój wyjazd nie ma z tym nic wspólnego. Wrócił człowiek, którego kochałaś i kochasz. — Kocham? Kogo kocham? — zaśmiała się głośno. — Męża,

którego mi zabrano w kilka godzin po ślubie, męża, który mi nigdy nie był mężem? Nie, on jest tylko dawnym znajomym, niczym więcej. — Nic nie rozumiem — krzyknęłam — więc nie kochasz Mateusza! A nawet! Gdyby nawet tak było Mewo? Odkąd się dowiedział, że żyjesz, nie przestaje wołać, że nie ruszy się z kraju. Jak on tak będzie pił i krzyczał, że chce zostać, to w końcu go nakryją, albo Zbik będzie go musiał sprzątnąć. To nie żarty. Trzeba go nakłonić do jak najszybszej ucieczki i tylko ty możesz to zrobić. — Wiem, wiem! Zależy ci na tym, ażebym czym prędzej zgodziła się przejść z nim granicę, abys ulżył swemu sumieniu? Staraj się lepiej zasnąć. Powinieneś być jutro wypoczęty. Siły mogą ci się przydać, nie masz ich za dużo. — Jest — krzyknęłam — jest, słuchaj Mewo, jakieś prawo, które wymaga od ciebie, ażebyś poszła ratować tego człowieka, jeśli nawet nie kochasz go. Nie żyjemy w epoce miłości. Są dzisiaj sprawy ważniejsze. Na sto kobiet dziewięćdziesiąt dziewięć poszoby tam. — Więc tylko dziewięćdziesiąt dziewięć. Ale mnie nie obchodzi niczyj ból. Zmieniłeś mnie. Zmieniłeś mnie w kamień! Zostawiasz mi „połowę swoich skromnych pieniędzy” i wyjeżdżasz, jeszcze dopowiedz sobie: po mnie potop i staraj się usnąć. — Naraz usłyszeliśmy kroki.

Jan Samuel:

Przypomniała mi się pewna scena z okupacji: spałem u przyjaciela, w nocy strzelało za oknem. — Zabijają mnie — pomyślałem — przyjdą i zabiją! Niemcy mieli piękny zwyczaj zabijania na miejscu obcych. Bałem się, pamiętam, nie tego, że zabijają, tylko że zabijają mnie nagiego w łóżku. Teraz pomyślałem to samo. Podszedłem do drzwi. To Mateusz przyszedł pożegnać się z nami. Żądano żeby o świcie opuścił Łódź. Człowiek współczesny traktuje nazwisko ledwo co inaczej niż liczbę, ale stare rody mają do nazwisk taki stosunek, jak do marek win. Jeszcze przed wojną słyszałem o działaczach, Mateuszu Gronecie. Znałem Gronetów. W r. 1812 Emil Gronet, żołnierz napoleoński, został lokajem w Wielkich Chlebach. Dziadka Mateusza jeszcze pamiętałem w tej roli, ale jego ojciec słynął już jako adwokat. Inni wiedzieli, kim są Młodochowscy, Mateusz czuł i w stosunkach ze mną był zawsze onieśmielony. Taki sam był wczorajszej nocy do samego końca. Był rzeczowy jak młodzi chłopcy. Nie mówił, lecz recytował. Jutro wieczorem będzie już w Zakopanem, tam czekają. W nocy górąmi przejdą do Słowacji, droga jest łatwa, każdy może przejść. Po pierwszej wojnie światowej ćwierć miliarda ludzi również zmieniła swoją przynależność państwową. Mówił raczej ze mną. Na Mewę starał się nie patrzeć. Natomiast Mewa nie spuszczała z niego oka. Pytała, czy nikt nie widział go, jak wchodził. Pytała: „Czy to prawda, że Francuzi uciekają z Francji. Zawsze zazdrościłam uciekinierom z 39 roku ich szlaku: kiedy myśmy siedzieli w Bobrujsku. Samuel jedzie teraz na miejsce uciekających z Europy Francuzów. On nie kocha mnie. On wyjeżdża jutro, a ode mnie żąda, żeby nie robiła scen: „nowoczesna dziewczyna nie robi scen”. Jestem zatem znów jedną z miliona kobiet, która nie wie, co począć ze swym życiem. Mateusz starał się nie patrzeć na mówiącą, starał się również nie patrzeć na mnie. Wydawał się opanowany i uleczony. Ale jęk jaki nagle wydał, kiedy Mewa spytała go, czy może się z nim zabrać, bo nie chce pozostać sama, zdradził go całkowicie. Potem, potem polay się lzy. Ustaliliśmy, że wszyscy troje dzisiaj opuścimy kraj. Mewa wyszła do kuchni, żeby zrobić herbatę.

Jan Samuel:

— Ja nie używam wody łódzkiej. Kupuję destylowaną w aptece. W tamtym pokoju stoi zawsze pełna karafka, jak na stole sędziowskim. W pewnej chwili Mateusz wypił szklankę wody. Jeszcze szklankę trzymał w ręku, gdy weszła Mewa i zamarała Zaczęła przeraźliwie krzyczeć: wypileś, wypileś! OOO. Nim zrozumiałam co się dzieje, podbiegła do stołu i nalala sobie drugą szklankę. Potem wołała: „Twoja wygrana, Samuelu, twoja wygrana!” Potem już tylko: „Samuelu, o Samuelu!” a potem: „Ratuj mnie! Ratuj!” To był cyanek przygotowany, dla kogo — nie wiem. Myślę, że powiedziała sobie, że nie dopuści do wyjazdu, że nie odda mnie innym kobietom. O, to była twarda sztuka.

Jan Samuel:

— I ja czas jakiś byłem w partyzance. Kiedyś wzięliśmy jeńców, znosili nam żywność i broń na punkt, użyliśmy ich jako dromaderów. Ponieważ znali miejscę postoju, nie można ich było puścić.

Niektórzy prosili o życie, całowali nam nogi. Jakiś Musiker zapewniał nas, że uwielbia Szopena, jakiś Regierungsrat był pełen podziwu dla dzielnych Polaków; w ostatniej godzinie mózg gwałtownie odnajduje takie wspólności, zaczyna się maligna, którą widzą tylko ci, co mają rostrzeliwać; ci zachowują podwójny spokój. Zresztą, bywało że jeńcy, zapytani o ostatnie życzenie, odpowiadali: rasieren. Razem z pewną grupą wzięliśmy SS-mana, młodego silnego bruneta. Przetrzymaliśmy ich do rana. Zbudziłem się wcześniej i wyszedłem do nich. Spali. Również wartownik spał. Od razu zauważyłem brak SS-mana. Po chwili usłyszałem jakiś łoskot. To SS-man czołgał się ze związanyymi rękami i nogami. Chciało mi się śmiać. Znajdował się o jakieś dwadzieścia kroków i od razu wzięłem go na muszke. Gdybym nawet spudłował, strzał zbudziłby wartowników. Pozwoliłem mu się jeszcze trochę poczołgać, wreszcie krzyknęłam: „vergebens!” (naprawdę!) — Jawohl — odpowiedział, gdy podszedł — pańska wygrana. Patrząc na ślaniającą się Mewę, widziałem tamtego jeńca. W jej niebieskich oczach żył spokój istot silnych. Jej siła najbardziej była widoczna w ustach, zawsze bałem się jej ust. Była za silna dla mnie. Nie kocha się kobiet silnych. Kobiety powinny być jak chleb. Czy przyszło ci kiedy do głowy bać się chleba?

Jan Samuel skończył. Siedzieli znów w tym samym pokoju, co przedtem, z oknem na ogród. Tamten Jan Samuel zamknął. Klostermayer leżał na sofce. Jan Samuel to chodził po pokoju i zniknął w korytarzyku, to siał obok leżącego, pełen troski o niego.

— Obmywaj sobie twarz co pewien czas. Zaraz przyniosę wody. Ja... już się niemal oswoiłem... Lepiej już?

— Lepiej...

— Bardzo się bałem o ciebie. Serce, co?

— Ktoś tam chodzi, Samuelu...

— Nie... I ja ciągle słyszę kroki. Mnie się nawet wydaje, że... oni wstaną jeszcze. Tak podobno bywa wszędzie, gdzie są zmarli.

Jan Samuel nie uczynił najmniejszego ruchu, gdy telefon zadzwonił. Obaj nasłuchiwali w milczeniu, aż dzwonek zamarł. Gdy Klostermayer podniósł się z sofki, Jan Samuel natychmiast się położył. Widać było, że znajduje się u kresu sił.

— Ale ty się kulisz, masz dreszcze?

— To nic... Czy wiesz o matce Mewy, opowiadano mi, że jak ją raz zaprowadzili do nocnego lokalu, to się rozplakała. „To Sodoma” — mówiła. Jej matka to była wielka piękność i wielka katoliczka. Gorąco dzisiaj, prawda?

— Gorąco.

— Boję się, że zapach kogoś sprowadzi. Czy ciebie zapach zmógł? Słuchaj, ty znówu bledniesz, opanuj się. Ja mam niewiele czasu. Najlepiej żebyś sobie poszedł, już zrezygnuj z twojej pomocy. Niepotrzebnie cię tam zaprowadziłem. Czy masz od tej pory inne, inaczej na mnie patrzysz...

— Nic, nic. Już mi dużo lepiej.

— Dzisiaj niedziela, prawda?

— Niedziela

— Myślałem, że dzisiaj najważniejszym zagadnieniem będzie dla mnie to, czy uda mi się pogodzić pójście na mecz piłkarski z wyjazdem.

— Samuelu, co my zrobimy? Co ty zrobisz??

— Nie wiem. Od rana chodzę po mieszkaniu, patrzę na nich tam i... nie wiem.

— Dzisiaj miałeś wyjechać?

— Dzisiaj. O ósmej przyjdzie po mnie Wortman. Ja go ukrywałem za Niemców, teraz on mnie wpisnął do gminy; jako żyd będę mógł legalnie przejść granicę. „Nie dla Młodochowskich trzykrotnie uderza w rzucie na Zachód serce granatu”. Cała rodzina moja siedzi już we Francji. W Wielkich Chlebach, naszej siedzibie od szesnastego wieku — kołchoz albo coś podobnego. Wortman nakazał mi pamiętać, gdzie co mam. Przez niektóre granice do zony amerykańskiej będziemy musieli się szwarcować. Jeden z znajomych Wortmana w ciemną noc znalazł się nagle przed kałużą i — struchlał. Zapomniał w którym bucie ukrył dolary.

— I wyjedziesz? Trzeba może komuś dać znać. Przecież oni nie mogą tam tak leżeć...

— Komu dać znać?

— Nie wiem

— Pójść na milicję, to znaczy pożegnać się z wyjazdem. „Nim zając wytłumaczy, że nie jest wielbłądem...” Napisać może list.

— Do milicji?

— Do Zbika. Oni to jakoś załatwią... Dziwię się, że od nich nie ma jeszcze nikogo. Jakiś zapukał, byłem przekonany, że to oni. Jaki dzisiaj dzień?

— Niedziela. Dlaczego ciągle o to pytasz?

— Nie wiem. Tak cicho — prawdziwe niedzielne popołudnie. Nie dożyli...

— Wyjedziesz, zamkniemy drzwi i oni tu tak pozostaną?

— A jak inaczej? Zresztą, to się wszystko jeszcze inaczej skończy. Pamiętaj: Przed wojną była głośna „Ostatnia niedziela”. Kochankowie nastawiali patefon i odkręcali kurki gazowe. Jedna z moich znajomych mówi: Roman? Nie pójdę do Romana, bo zacznie mnie nudzić. Patrzę na niego, jak na najbardziej obojętnego człowieka. Tylko, jak ktoś podsuwa mu jabłko, myślę sobie: Idiota, czy on nie wie, że Roman nie znosi jabłek... A ona trula się kiedyś dla tego Romana.

— Co ty, Samuelu, anegdota mi opowiadasz?

— To nie anegdota, to moja biografia. Zabierzesz kanarka? Masz przecież serce do ptaków.

— Zabiorę. Wiesz, Samuelu, Mateusz w gimnazjum, w grupie, którą założył — Tegobory — żądał od chłopców czystości. Jak mu donieśli, że mój najmłodszy brat, Krzys, całował się z dziewczyną, to go wyrzucił z grupy.

— Teraz ty mi opowiadasz anegdoty?

— Nie. Ty, ty, zdaje się mówiłeś, że Mewa była czysta.

— Czysta.

— Mężczyźni nie lubią czystych kobiet; są zbyt kłopotliwe. Wolą łatwe, ładne i na krótko. Moja siostra ma dzisiaj czterdzieści dwa lata. Ona od dwudziestu lat kocha jednego człowieka, który nie może się zdecydować na rozwód z żoną; to człowiek żonaty. Ona, zdaje mi się, jest ciągle dziewczcą. Pomyśl: Twój grymas bolesny albo radosny, ale zawsze krótkotrwały, twoja teoria nowoczesnej miłości i — Mewa.

— Ja od pięciu miesięcy o niczym innym nie myślałem. Ona, ona mi kiedyś powiedziała: Ty ciągle mówisz o miłości, ale ty nic o niej nie wiesz. Weź kanarka.

— Wezmę. Mam już iść?

— Tak. Chcę побыć sam. Muszę list napisać.

— Jak ja ciebie zostawię, przecież ty lada chwila zemdlejesz.

— Nie, idź już. Mam do ciebie prośbę. Trzeba zawiadomić Wortmana, żeby nie przyjeżdżał do mnie. Spotkamy się na dworcu. On mieszka nie daleko. Pójdiesz do niego.

— Dobrze.

— Nie chcę jego w to wprowadzać. Jeśli nie zabraknie ci odwagi, wróć. Odwiesz mnie może na dworzec. Pociąg mamy dopiero koło północy, ale postanowiliśmy wcześniej pójść na stację, tłumy. Teraz jest piąta. Zabiorę ze sobą tylko ręczną walizkę, tak że możesz nie mieć wyrzutów sumienia, jeśli zdecydujesz inaczej. Jestem rzeczywiście u kresu sił, szum czuję w głowie.

— Wróć, Samuelu A oni? Oni tu zostaną? Zamkniemy mieszkanie?

— Nie wiem, nie wiem jeszcze. W ostatniej chwili zdecyduję. Zresztą tu na pewno jeszcze ktoś przyjdzie. Boję się tych wizyt. Dlatego tak długo nie otwierałem. Dośzedłem do wniosku, że stało się, co się musiało stać. Jestem przekonany, że w ciągu nocy Mewa zmieniła by zdanie, wtedy Mateusz zrobiłby użytek ze swej fasolki — cyanku, on po to przyszedł. Chciał umrzeć w jej oczach, wyraźnie to mówił. A ona wypiłaby napój przygotowany albo przede mną, albo po mnie... Nie sadzisz?

— Tak, tak, bardzo możliwe, ale ty drżysz... Samuelu. Ja, ja, Samuelu, chciałbym ich raz jeszcze zobaczyć.

— Znów słabo ci się robi.

— Nie. Ja bardzo proszę.

— Kochałeś, co?

— Kogo kochałem?

— Sam wiesz. Coś styszałem...

— Nnnie! Tylko ona kochała. Trzeba ją było przed tobą jak przed mrozem otulić. Biedna zwarzona brzoskwinia.

III

Tydzień po owej niedzieli. Zza otwartych okien dochodzi muzyka miejskich noc — pochrząkiwania, pokasływania, pojedyncze słowa, wyraziste jak pułk wojska. Już późno, cały dom śpi. Tylko u Klostermayerów pali się małe światło. Paweł Klostermayer czeka. Pławi się w tym czekaniu jak w kadzi z miodem. Nie mo-

że się doczekać żony, która krząta się jeszcze gdzie w kuchni czy w łazience. Wreszcie wchodzi. Jest w srebrnym szlafroku w duże granatowe kwiaty. Włosy ma upięte tak, jak on lubi — do góry. Jest to koncesja, na którą, zgodna na ogół Marię, trudno namówić; w dziedzinie mody i uczesania kobiety mają jakieś tajemne wiary, od których trudno je odwieść. Jedną z nich jest uczesanie do góry, którego Maria nie znosi. Klostermayer zakochanymi oczami wodzi za żoną. Od tygodnia uroda jej znów sprawia mu przyjemność. Kocha na nowo jej duże oczy, jej wyrefinowany nos, jej rudawe włosy, jej niedużą twarzyczkę, jej duże nogi, jej figurę, jej piersi. Wszystko na nowo jest dobrze, jak wszystko do niedawna było złe.

śmiać. Spytała, czy jest zły. To głupstwo, odrzekł bez akcentu. „Jak nie, to nie“ I w pięć minut później pożegnał ją. „Oto jaki jest człowiek“ — myślał potem. Przy niej był bohaterem, w samotności stał się jak szmata. Znow zaczęło się sterzenie przy telefonie, myszkanie po Piotrkowskiej; małe zdawałoby się miasto, wszystko na jednej ulicy, jak u ojca za stołem, a jak kogoś szukać, to Łódź nagle staje się przepastna jak Paryż. Któregoś dnia spotkał jednak Mewę. Już przedtem postanowił sobie: żadnego bohaterstwa, żadnego stawiania się, „ciszej wody, niższej trawy“. Znow przywitała go nie uśmiechem, lecz śmiechem. Jego pytania zbyła niczym. Zgodziła się jednak pójść do kina. — Śniło mi się — opowiadała mu w kinie — że zęby mi wypadły.

który ma mi pomóc. Wyrzwał na świerki, na pustą drożkę, dzień był bezsłoneczny i na raz zrobiło mu się tak, że myślał, że serce mu wyskoczy. Wieczorem wrócił do Łodzi. — Zupełnie nie mógł ugasić tego płomienia w duszy. To, co się z nim działo, to był prawie obłąd. Były chwile, kiedy pragnął tylko jednego, żeby go ktoś ratował przed nim samym. Potem nastąpiło spotkanie z Mateuszem. Z tego spotkania najbardziej utkwił mu w sercu — adres Mewy. Nie był zdolny do myślenia o czymkolwiek poza nią; postanowił ją zobaczyć. Jana Samuela Młodochowskiego znał jeszcze z Wielkich Chlebów — z lat chłopięcych. Ojciec Pawła pracował w administracji u Młodochowskich.

Takie kryzysy, jak ostatni — najgroźniejsze właśnie u ludzi uczciwych — powtarzały się u Klostermayera. Od czasu do czasu dawał mu się we znaki głód życia, którego nie mógł zaspokoić w domu. Wpadał w chorobę szukania, która najzdrowszych zmienia w obłąkanych; najzdrowsi, budząc się z rana, nie poznają siebie z nocy, przerażeni tym, co noc z nimi uczyniła. Tym, którzy mówią sobie: „Coś musi się stać“ — pustka nadchodzącej nocy wydaje się gorsza aniżeli śmierć (choć ból pustki byłby niczym, wobec bólu niespełnionych poszukiwań, bowiem natura, jak wiadomo, jest przekorna). Klostermayer znał już tę chorobę, ale nie mógł opanować własnych mroków. W okresie odpływu uczuć nienawidził żony. Kiedyś jedli obiad razem w restauracji. Paweł poprosił o kartofle do zsiadłego mleka bez trawy. — Bez kopru, Pawle — poprawiła go Maria. — Nie lubisz kopru, a wydaje ci się, że nienawidzisz trawy. Nie patrzysz na mnie, bo mnie krzywdzisz, krzywdzisz, obrazasz, jesteś niesprawiedliwy, nienawidzisz mnie największą nienawiścią, bo nienawiścią niezastudzoną. Proszę cię, Pawle, tylko o jedno — o życzliwość. Nie chodź koło mnie z twarzą wroga... Spragniony miłości, obolały jak każde stworzenie, któremu ona jest odmówiona, Paweł Klostermayer słuchał tych słów z goryczą w duszy. Ale cóż! Nie mógł się zdobyć nawet na życzliwość.

— Mewa przyszła do mnie w lutym, pięć miesięcy temu. Straciła wszystkich bliskich, została sama jedna z jakimiś skrzyniami dokumentów akowskich, z którymi nie wiedziała, co robić i przyszła się właśnie mnie radzić. Guzów, jej majątek rodzinny, podobnie jak Wielkie Chlebki, leżał w gruzach. Przez podobieństwo sytuacji wydała mi się szczególnie bliska. Wystarczyło spojrzeć na jej buty, aby zorientować się, jak jej się powodzi. Pomyślałem: po tę dziewczynę wystarczy wyciągnąć rękę, jak do obwarzanek. Patrząc na nią okiem rozgranym, czułem już nieunikniony popiół. Widząc początek, widziałem już i koniec. Nie wierzę w opór kobiet. Jest dziedzińska, w której kobiety są genialne — bez względu na to czy mają cztery naście czy sześćdziesiąt lat, dziedzińska jest miłość. Spróbuj opowiedzieć najbardziej wstrząsające twoje romanse piętnastoletniej dziewczynie. Bez trudu uchwyci to, co uszło twoim oczom. Jej sąd oświeci cię. Mężczyźni gubią się w szczegółach, kobiety — nie. Kobiety mają oczy otwarte, szukają przedewszystkim ziarna. Dla nich najistotniejsze będzie ziarno. Kocha czy nie kocha — proste jak piosenka. Kobiety które się oddają są dlatego tak biedne, że nigdy nie mogą przewidzieć jak to będzie przyjęte; ich ryzyko jest zbyt duże. Mewa wiedziała wszystko. Mówiłem do niej: Ty nigdy nie zapomnisz Mateusza, choć wiedziała, że domyślał się, że już dawno o nim zapomniła, że boli ją tylko to, iż zdradziła go dla — popiołów. Znała mnie. Znała mnie o ileż lepiej, aniżeli ja ją. Pamiętała wszystko co ja kiedykolwiek i z jakiej intencji mówiłem. Wiedziała, że ja wspólnych nocy boję się jak ciasnych butów, ale klęskę swoją dusiła w sobie z zaciętością, która budziła mój podziw. Kiedyś tylko raz jeden wyrwało się jej: Gdybyś mnie oblał wrzątkiem, mogłabym ci wybaczyć. Ale wybaczyć że mnie nie kochasz? Którejś nocy nie umieję sobie poradzić z cierpieniami, zawołała: „Umrzeć! O nareszcie umrzeć!“ Te jej słowa znaczyły naprawdę to, co znaczyły. Ja w swoich uczuciach nigdy nie odchodziłem daleko. Ja zawsze bałem się cierpieć. Pamiętałem o tym, że miłość bywa tragiczna dla tych, którzy chcą za dużo. Nigdy nie lubiłem kobiet, które zbyt wiele wagi przywiązują do miłości, (choć zawsze ich szukałem. Los mści się na ludziach, każąc im marzyć o czymś innym, aniżeli im naprawdę potrzeba). Nienawidzę prawdziwych uczuć; być może, że ja dlatego tak nie lubiłem Mewy. — On — powiedziała o mnie Mateuszowi — nie kocha mnie. On uznaje kobiety tyl-

ko na dwa razy. Kobieta jest dobra na dwa razy — uzgodnił to kiedyś z ministrem B. On ma taki stosunek do kobiet, jak do zielonych jabłek. Zerwie, nadgryzie i wypłynie. On jest znawcą kobiet, kolekcjonerem kobiet. Ma w swojej kolekcji kobiety o twarzach anielic, które czuć mężczyznami, jak rzeźnika krwią; kobiety ordynarne w gębie, z których miłość zdiera ordynarność jak jaskrawy szlafrok, kobiety, które wymagania epoki przekształciły w dziewczki i które, mimo to, pozostały wspaniałymi, ciepłymi, macierzyńskimi kobietami; on zna prostytutki delikatniejsze od zakonnice. Uczucia kobiet rozgrzewają mu krew. Oblepiony ich uczuciami, jak stragan owocami, czuje dopiero życie. Oczy kobiet podczas nocy miłosnych uważa za tak pełne wyrazu, jak oczy umierających. On miał tysiąc kobiet, a teraz jedzie do Francji uzupełnić kolekcję, wypić wino ze wszystkich pól Burgundii, a zaczął od tego, że zapierało mu dech, kiedy patrzył na Kaśkę, siedzącą w ogrodzie z rozkraczonymi nogami. O, kobieta zawiedziona umie być straszna! Nie tylko nie byłem zakochany, ale nawet fizycznie nie bardzo mię zadowalała. Pod jej skórą płynęło za mało krwi, ciało miało jak z gumy. Tej bardzo złożonej psychicznie dziewczynie dano ciało bez tajemnic. Jej brzuch był zawsze niemy. Nigdy nie słyszałem głosu jej ciała. Nigdy nie widziałem spokoju, który po nocy miłosnej łagodzi twarz, jak odległość górski szczyt. Jej ręce były jak z drzewa.

Smak tych wyznań uczynionych przez Jana Samuela minionej niedzieli odżył na nowo w Pawle teraz, gdy Maria, uśmiechnawszy się doń, wyciągnęła rękę, aby przekreślić kontakt. Potem położyła się przy mężu. Paweł przysunął się do niej. Jego ręce zachowały pamięć i potwierdzały mu i czuły to, czego się domyślał: Maria nie lubiła rozbierać się przy świetle, odkąd stwierdziła, że zaczyna lekko tyć, że piersi jej i uda tracą kształt. Paweł przysunął się jak najciszej do tego zawsze pachnącego dobrze wypieczonym chlebem, do tego zczynającego się psuć ciała. Nigdy nie było mu ono równie drogim, jak właśnie teraz. Tkwiła w tych brakach słodycz tak bogata, jak w zieleni starych drzew, przy których młoda zielen trawy wydaje się niemal ordynarna.

Paweł długo nie mógł usnąć. Znow myślał powrócić do tamtej niedzieli. Pożegnawszy Jana Samuela, schodził wolno, stopień po stopniu. Na pierwszym piętrze minął dziewczynę o dużych, szarych oczach, ubraną w mundur pestki. Jej twarz bez jednej kropli krwi okalały gęste czarne włosy. Była to dziewczyna Mateusza. Poznał ją Mateusz po rzekomej śmierci Mewy, jeszcze w Niemczech, „polubił“ i przywiózł z sobą do Polski. Brała z nim udział w zamachu na Hrubego. Wiadomość, że Mewa żyje, oderwała Mateusza od pestki. Dziewczyna wiedziała, że ma być wyrzucena za burtę i przyszła tutaj walczyć „o swoje szczęście“.

Paweł Klostermayer od razu domyślił się wszystkiego. Przeżył okropną chwilę, nim zdecydował, że nie powróci razem z pestką do Jana Samuela. Rozstrzygnął o tym... kanarek. Niósł kłatkę ze sobą. Pomyślał: przedewszystkim trzeba ratować stworzenie i — minął pestkę. Na ulicy, kiedy zobaczył patrol, przeszedł od razu na drugą stronę, jak wtedy na Cegielnianej. Żołnierze weszli do domu, który dopiero co opuścił. Potem dowiedział się, że zarówno pestka jak Jan Samuel zginęli tego samego popołudnia. Ujrawszy żołnierzy, dziewczyna pierwsza otworzyła ogień.

— Spisz? — usłyszał głos żony.

— Nie, serce.

— Ciągłe myślisz o tamtym?

— Tak.

— Nie powinienes.

— Nie powinienes, serce. Czy wiesz, o kim jeszcze myślałem? O Betlejemskim. Mówią, że to dziewnka moralna... On po siedmiu latach co noc kładzie swojej żonie jabłko na stoliku, choć jej nie kocha. Każdy człowiek ma jakąś swoją jedną wielką mądrość. Każdy inną...

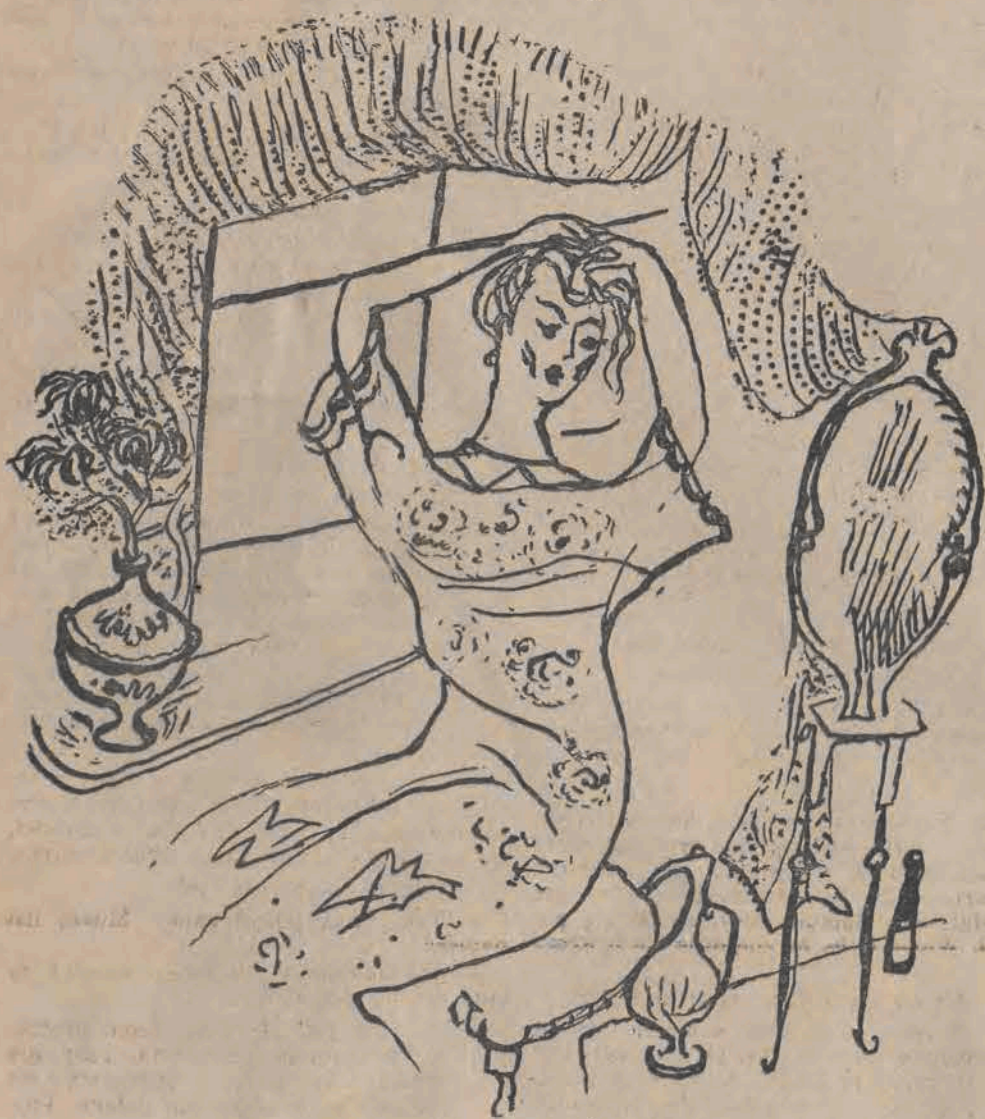
Po pewnym czasie Pawłowi zdawało się, że jeszcze ktoś trzeci jest w pokoju. Dopiero po chwili zorientował się:

— Serce, płaczesz? Dlaczego? Dlaczego?

— Nie, już nie Pawle, — odpowiedziała tonąc we łzach, nad którymi nie usłowała nawet zapanować — ja tylko tak... że znów dobrze. Bo tym razem, bo tym razem nie miałam już nadziei. Myślałam, że już koniec, Pawle...

Adolf Rudnicki

ilustrował Mieczysław Piotrowski



Minionej niedzieli wrócił do domu wstrząśnięty. Mówić zaczął dopiero po godzinie. Maria słuchała go bez jednego przerywnika. W milczeniu podała mu herbatę, której nie mógł przekłnąć. Przez całe małżeństwo, przez pięć lat ich wspólnej drogi, przez ogień i wodę, zawsze w trudnych chwilach miała klasę. Najmniejszego wyrzutu, żadnego przykrego słowa, choćby sytuacja aż się prosiła o nie, choćby słowo to było blisko jak serwetka na stole. Umiała czekać aż się uspokoi, aż opadnie zeń ciężar. Leczyła go milczeniem wtedy, gdy nie mogło być innego lekarstwa. Miała tę wielką mądrość, równie rzadką jak geniusz. Wróciwszy minionej niedzieli, Paweł nie myślał o Marii, ale powoli znów napelniał się nią. Tego wieczoru dawno wyschnięte źródło znów zabiło.

Ostatni kryzys miał ostry przebieg. Przeszło dwa tygodnie temu Klostermayer spotkał Mewę. Po tym spotkaniu powtarzał sobie: Malarz Domaniewski powiada, że chodzi po łódzkich ulicach z zamkniętymi oczami, bo nie chce sobie psuć „widzenia“. Malarz Domaniewski jest idiota. Nie ma piękniejszych ulic. Przy boku Mewy miasto wydawało mu się ogrodem kwitnących dalii. Nazajutrz obudził się cały w najśłodziejach ranach. — Boże — pomyślał — jak człowiek żyje! I dlaczego tak żyje? Najpiękniejsze uczucia miłości na nowo rozgrzały mu duszę. Mewa miała zadzwonić o jedenastej. Kiedy o umówionej godzinie nie było telefonu, nie zaniepokoił się zbytnio. Potem jednakże zaczął biegać po mieście, zaglądał do lokali — nigdzie śladu. Nazajutrz była niedziela. Cierpienia są zawsze cierpieniami, ale w niedzielę świat, jak gdyby się rozszerza, w cierpieniu natomiast człowiek maleje, drobnieje i ta dysproporcja przydaje jeszcze bólu. Mewa nie zadzwoniła również ani w poniedziałek, ani we wtorek. W środę idąc Piotrkowską nie wierzyl własnym oczom: Mewa stała przed gąbłotką i oglądała buty. Zobaczywszy go, zaczęła się śmiać; nie uśmiechać, ale

Ale jak? Po kawałku, nie całe. To oznacza coś niedobrego — śmierć. Sprawdziłam w słowniku. Pan się śmieje? Pan nie czyta sennika egipskiego? O, mężczyźni są okropni, mężczyźni są wszyscy tacy sami!“

Ponieważ wybierała się do Warszawy, postanowił, że sam także pojedzie. Prosił żeby zostawiła parę słów w znanej kawiarni. Żadnej kartki w kawiarni nie zostawiła. Była zdumiona gdy przypadkowo spotkała go. Naraz Paweł zrozumiał coś, czego dotąd nie chciał zrozumieć: był niczym dla tej kobiety, zapomniała o nim chwilę po rozstaniu. Musiało jednak w jego głosie być coś takiego, co ją poruszyło, bo nie pożegnała go od razu. Włóczyli się jakiś czas po zburzonym mieście. Na chodnikach piętrzył się gruz, tak, że musieli schodzić na jezdnię. Po jezdni szalały samochody tak, że musieli bardzo uważać; był to męczący spacer. Ponieważ ruch panował tylko na Marszałkowskiej, natomiast przecznicę pyły puste, skręcili w Hożą. Tu na pełnej zapachów trupów, spalenizny i kału Hożej, powiedziała mu: Proszę pana, ja pana przecież nie kocham. I pożegnała go; okazało się, że miała nocleg gdzieś w okolicy. Paweł Klostermayer poszedł już sam w Aleje. Szedł w masie mgły, lamp i zieleni; zapadał wieczór. Wypalone domy, dotknięte światłem, wyglądały jak paleniska pieców. Gdy tę noc pełną mgły, wilgoci i jakby przemyte światłem zieleni, w tę noc ruin wymarłego miasta wdarł się śpiew ludzki, Paweł poczuł żyć na twarzy.

Jeszcze tej samej nocy pojechał do znajomych w B. Przyjechał rano. Drzwi otworzył mu jego znajomy Łychowski. Bardzo zbliżał, zestarzał się. Miał dobre oczy i tymi dobrymi oczyma patrzył na Klostermayera uraczył go naprędce wszystkimi nowinami, których nie zdołał mu napisać w listach. — Wygląda jak zbrak-pomyślał Klostermayer. — Oto człowiek,

ARNOSZ KOLMAN

Walka o prawdę na X-tym Międzynarodowym Kongresie Filozoficznym w Amsterdamie

W Amsterdamie, w mieście czterystu mostów nad pięćdziesięcioma kanałami, w mieście czterech tysięcy zabytkowych budynków, w mieście, którego półmartyj obecnie port był przed wojną jednym z najbardziej ożywionych w Europie i którego niezliczone restauracje, bary i dancingi, cieszą się obecnie szczególną uwagą Amerykanów, obradował w czasie od 11 do 18 sierpnia X Międzynarodowy Kongres Filozoficzny. Posiedzenia Kongresu odbywały się w gmachu uniwersytetu katolickiego, oprócz którego istnieje w Amsterdamie jeszcze „wolny” uniwersytet kalwiński. Gmach jest stary i czcigodny, nie odpowiada jednak zupełnie wymaganiom, jakie obecnie stawiamy budynkom przeznaczonym na wyższe uczelnie.

W Kongresie wzięło udział około 900 uczestników. W połowie dostarczyła ich Holandia, reszta zaś pochodziła z 30 rozmaitych krajów. Mówiło tu o uczestnikach Kongresu, a nie o delegatach, ponieważ nikt ich na Kongres nie delegował. Jest to zjawisko normalne na wszystkich zjazdach w krajach mieszczańskich: uczestnictwo w obradach jest sprawą prywatną, należy tylko wnieść składkę członkowską, w danym wypadku 30 guldenu. Możliwość wygłoszenia referatu nie zależy także od kwalifikacji; każdy, kto zapłacił składkę i nadesłał tezy, uzyskuje prawo publikowania ich w pracach Kongresu i może wygłosić na ich podstawie referat. Nie jest więc żadną niespodzianką, że Kongres przedstawiał mieszaninę kierunków i poziomów, ponieważ brali w nim udział nie tylko ludzie, którym ich naukowe i pedagogiczne działalności dają prawo do tytułu filozofa. Byli to w poważnej ilości solidni i poważni teologowie katolicy. Ogromna liczba czarnych sutann pozwalała niekiedy mniemać żeśmy przez pomyłkę znaleźli się na kongresie duchownych, który równocześnie odbywał się w Amsterdamie. Obok katolików o raz gładkich i wypielegnowanych propagatorów angloamerykańskiego „jedynego świata”, było także kilku dżiwaków, którzy znaleźli czarodziejską ideę natchnioną zjawienia ludzkości.

Oprócz uroczystego otwarcia i zamknięcia Kongresu odbyło się pięć przedpołudniowych posiedzeń plenarnych, mających na porządku dziennym dwa lub trzy 45-minutowe referaty oraz dyskusję, po południu zaś obradowały sekcje, na których wygłaszano 20 lub 30-minutowe referaty z dyskusją.

Sekcje były dziewiętnaście: 1. „Człowiek, ludzkość, humanizm”, 2. „Wschód — Zachód”, 3. „Człowiek i religia”, 4. „Metafizyka i ontologia ogólna”, 5. „Ogólna teoria wartości”, 6. „Etyka”, 7. „Estetyka”, 8. „Filozofia prawa”, 9. „Logika i metodologia ogólna”, 10. „Logika symbolów”, 11. „Filozofia matematyki”, 12. „Filozofia przyrody”, 13. „Biofilozofia”, 14. „Filozoficzne zagadnienia psychologii”, 15. „Filozofia języka”, 16. „Filozofia historii”, 17. „Socjologia i etnologia”, 18. „Historia filozofii starożytnej i średniowiecznej”, 19. „Historia filozofii czasów nowszych”.

Ponadto w ramach Kongresu odbyły się 3 posiedzenia UNESCO, na których wygłoszono wykłady i dyskutowano na tematy: trojska o cechy osobowości, odpowiedzialność indywidualna i zbiorowa oraz znaczenie wolności.

Ponieważ równocześnie obradowało około dziesięciu sekcji, nikt z uczestników nie miał możliwości być obecnym na wszystkich posiedzeniach, któreby go interesowały. Czas przemawiania w dyskusji nie mógł przekraczać 4 minut. Ogólnie ogłoszono drukiem przed otwarciem Kongresu tezy do 290 referatów i z tej liczby wygłoszono prawie wszystkie referaty, przy tym mówców nieobecnych zastąpili inni, często nawet tacy, którzy nie zgłosili tezy. Obfitość referatów przyjętych bez żadnej uprzedniej selekcji stanowiła najpoważniejszy brak Kongresu.

Przewodniczącym był profesor Uniwersytetu w Amsterdamie H. J. Pos, człowiek naprawdę postępowy. Zaprosił on bowiem na Kongres marksistów, a nawet wniósł na porządek dzienny zebrania plenarnych dwa referaty marksistowskie A. Banfi'ego z Mediolanu i L. Riegera z Pragi, dzięki niemu również referat autora niniejszego artykułu dostał się na posiedzenie UNESCO.

Otwierając Kongres prof. Pos w serdecznych słowach wspominał prof. Leo Polaka, którego poprzedni, IX Kongres zapropomował na przewodniczącego obecnego Kongresu, a który jako Żyd i antyfaszysta zginął w Sachsenhausen. Prof. Pos wyraził ubolewanie, że w Kongresie nie wzięli udziału filozofowie Związku Radzieckiego oraz nadzieję, że będą oni uczestniczyć w przyszłym, który odbędzie się w r. 1952 w Brukseli, być może w przyjaźniejszej już atmosferze. To postępowe stanowisko prof. Posa zaznaczyło się także w toku Kongresu (na jednym z posiedzeń, któremu prof. Pos przewodniczył, przerwał on przemówienie Amerykaninowi, zaczynającemu od obelg pod adresem Związku Radzieckiego i przypomniał mu, że przemawia na kongresie filozoficznym) i nie pozostało bez konsekwencji. Od razu po otwarciu Kongresu radio holenderskie próbowało rzucić cień na wystąpienie Posa, na Kongresie zaś puszczono plotkę, że Pos, który naprawdę jest spokojnym liberałem i demokratą, to zamaskowany komunista i marksista.

Delegacja czechosłowacka składała się z 8 członków, wśród nich 3 nie-marksistów, w

ich liczbie zaś dziekan Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu w Pradze prof. J. B. Zak. Wygłosił on referat: „Rewizja stosunku ilości i jakości” na sekcji logiki i metodologii ogólnej, ujmując sprawę z idealistycznego punktu widzenia realizmu krytycznego i próbował krytykować rozwiązywanie tego problemu ze stanowiska materializmu dialektycznego. Na sekcji psychologii wystąpił W. Tardy z referatem „Osobowość jako jedność przeciwieństw”. Na plenum Kongresu prof. Rieger w referacie „Człowiek i społeczeństwo z punktu widzenia marksizmu” wskazał, jakie decydujące znaczenie w kształtowaniu człowieka i jego stosunku do społeczeństwa przypisuje marksizm pracy. Wreszcie autor niniejszego artykułu na posiedzeniu UNESCO wygłosił referat: „Zadania współczesnej filozofii w walce o nowy humanizm”, w którym wystąpił zarówno przeciwko egzystencjalizmowi, tej filozofii rozkładu i zagłady, jak i przeciwko logiczmu, filozofii usunięcia się od życia i walki, i wezwał przodujących filozofów, aby niezależnie od swoich specjalnych poglądów filozoficznych stanęli do walki z ideologią amerykańskiego imperializmu, walki o trwały pokój, prawdziwą demokrację i socjalistyczny humanizm.

Członkowie delegacji czechosłowackiej nie byli jedynymi marksistami na Kongresie. Na plenum wygłosił doskonały referat prof. Antonio Banfi: „Człowiek według koncepcji Kopernika”, w którym wykazał, że materializm dialektyczny jest jedynym prawym dziełem wielkich krytyczno-racjonalistycznych myślicieli Odrodzenia.

Na sekcji logiki i metodologii ogólnej prof. Fogarasi z Budapesztu referował podstawowe zasady dialektyki, jedność przeciwieństw, na sekcji matematyki prof. Kalmar z Szegedy dowiódł, że istnienie tzw. nierozwiązalnych zagadnień matematycznych lub logicznych nie może być absolutnie traktowane jako argument przemawiający za agnostycyzmem; prof. Aleksits z Budapesztu, a także prof. Fenier wygłosili wykłady z zakresu logiki matematycznej wychodząc z założenia materializmu dialektycznego. Tą samą metodą postępowali się i bronili jej prof. G. Revész z Amsterdamu w wykl.: „Określenie myślenia zgodnie z zasadami gnozeologii pozytywnej”. Zgodnie z jego zasadami przemawiał prof. Blaukopf z Wiednia w wykładzie: „Estetyka humanizmu muzycznego od Diderota do Hanslicka”. Referat Giorgiani Malvin z Oakland w Kalifornii na temat: „Współczesna radziecka teoria prawa” był właściwie pozytywnym, choć beznamytnym ustosunkowaniem się do marksizmu.

W Amsterdamie na Międzynarodowym Kongresie Filozoficznym po raz pierwszy zabłysła wyraźna prawda filozofii naukowej, jej rewolucyjnego poglądu na świat, po raz pierwszy zabrzmiąło doniosłe wezwanie filozofów, aby spełnili swój obowiązek w stosunku do postępowego człowieka.

A jak powiatał marksistów kongres w Amsterdamie? Jak powitano reprezentantów tej ideologii, która umożliwiła zwycięstwo Związku Radzieckiego, ocalenie cywilizacji europejskiej i która jest obecnie jedyną rekojmnią pokoju i swobodnego rozwoju narodów?

Dopóki wygłaszano referaty z zakresu dyscyplin specjalnych, np. logiki lub filozofii matematyki, wysłuchiwało ich z pełnym spokojem, tak samo, jak słuchano reprezentantów innych kierunków filozoficznych. Mieszczańscy filozofowie z konieczności gołowi byli uznać marksizm za kierunek filozoficzny istniejący obok innych uznawanych przez nich kierunków, naturalnie o tyle, o ile materializm można uczesać tak, aby przybrał wykład salonowca i stracił zapach „młochu”. Jednak kiedy tylko ukazywało się prawdziwe oblicze marksizmu, jego istota radykalnie różna od wszelkiej innej filozofii, kiedy zabrzmiąło jego otwarte wyznanie, że jest filozofią klasy pracującej, która przekształca świat, burżuazyjni filozofowie gorąco protestowali.

Przeciwko referatowi Banfi'ego i Riegera na kongresie oraz autora niniejszego artykułu na posiedzeniu UNESCO wybuchła prawdziwa burza. Bez przesady można powiedzieć, że wszystkie reakcyjne siły, reprezentowane na Kongresie, zjednoczyły się: — angielscy lordowie i szwajcarscy „socjaliści”, pracobici labourzyści i praciaci z Watykanu, typowi niemieccy profesorowie, amerykańscy businessmeni i rosyjscy białogwardziści.

„Głębokie” i „oryginalne” były kontrargumenty, wysunięte przeciw referatowi Riegera. Socjal-demokrata E. Walter z Zurichu oświadczył, że materializm dialektyczny nie jest marksizmem, lecz leninizmem, podczas gdy prawdziwym marksizmem jest nauka Rudolfa Hilferdiga i Ottona Bauera, socjalizm zaś został zrealizowany nie w Związku Radzieckim, lecz w Szwajcarii.

Poziom dyskusji był tak niski, że wreszcie jakiś młody Amerykanin nie opowiadał się i powiedział, że nie jest marksistą, twierdził jednak, że należy uszanować geniusz Marksa i uznać, że marksizm wykazał się taką zdolnością przewidywania, jak żadna inna szkoła socjologiczna. Najsilniejszy jednak „argument” przeciwko referatowi Riegera sformułowano został przez dominikanina Bocheńskiego z Fryburga. Powiedział on krótko i dobitnie, bez zbędnych komentarzy i uzasadnień: „Wszystko to po prostu nie ma sensu” — i usiadł z miną zwycięzcy przy o-

znakach wyraźnej abrobaty swych licznych zwolenników.

Jako następny mówca w dyskusji wystąpił lord Bertrand Russell, 70-letni rycearz smutnego oblicza. Ten były pacyfista, który głosi obecnie zapobiegawczą wojnę atomową przeciwko Związkowi Radzieckiemu, przeciwdziałającą temu, by cały świat nie stał się niewolnikiem „czerwonego imperializmu”, ten logik, który za zadanie swojego życia uznał sprowadzenie matematyki i filozofii do logiki (czego naturalnie nie osiągnął i czego osiągnąć nie można) nie znalazł w dyskusji innych argumentów, jak tylko obelżywe oszczerstwa, czerpane wprost z prasy Churchill, przy których odwoływał się do swoich „mocodawców”. Godnym uzupełnieniem były wystąpienia znanego renegata socjalizmu Sydneya Hooka, dzisiaj komiwojażera imperializmu amerykańskiego, a następnie podstarzałego białogwardzkiego Dobrowolskiej-Zawadzkiej z Paryża i jeszcze kilku mówców, którzy im basowali.

Dyskusja z marksistami była, jak oświadczył przewodniczący Kongresu, najważniejszym wydarzeniem. Znamienne jest, że mieszczańskie prasa Holandii natychmiast przewarła swoje komunikaty z Kongresu z chwilą, gdy wystąpił na nim marksista.

Że się tylko stało, że nas, marksistów, było na kongresie niewiele, że nie przyjechali marksiści z Francji, z Anglii, z krajów demokracji ludowej, szczególnie zaś z Związku Radzieckiego. Udział grupy licznej, jednolitej, dążącej konsekwentnie do wspólnego celu, oddziaływałby niewątpliwie w sposób decydujący na tych filozofów, którzy chwycili się dotychczas między tymi dwoma obozami, a jest ich naprawdę wielu. Od dawna już czas, aby filozofowie marksiści różnych krajów, mający do rozporządzenia własne pióro połączyli organizacyjnie swoje wysiłki, urządzili wspólnie z filozofami radzieckimi regularne zjazdy, dzielili się swymi doświadczeniami, zorganizowali regularną wymianę i tłumaczenia materiałów, książek, bibliografii, wymianę ludzi, tzn. to wszystko, co obecnie odbywa się tylko dorywczo i przypadkowo.

Jaki jest wkład Kongresu w przyszły rozwój filozofii? Jaka była treść wygłoszonych na nim referatów? Zatrzymamy się na najważniejszych naturalnie, o ile są nam dostępne ich tezy.

Z posiedzeń plenarnych, równoległe do omówionych już referatów Banfi'ego i Riegera, wymienimy referat prof. Dempia, który próbował dowiedzieć, że współczesny pogląd na miejsce człowieka w społeczeństwie był już sformułowany przez filozofie średniowieczna. Była to typowa ilustracja tego, jak człowiek, który sam przesłałowany był przez faszystów, może swoją filozofią służyć faszystom wzywającym do nawrotu do średniowiecza.

Z zainteresowaniem oczekiwano referatu Bertranda Russella: „Postulaty wnioskowania naukowego”. Ale zawiedli się nawet jego idealistyczni zwolennicy. Russell z początku oświadczył, że zasada indukcji naukowej (która, niestety, nazwał niesłusznie indukcją z przykładu) jest nieprawdziwa. Przykro byłoby po prostu słuchać, jak nielogicznie przemawiał ten znany i uznany logik.

Różnorodnie były referaty na sekcji poświęconej zasadniczo tematowi Kongresu: człowiek, ludzkość, humanizm. Filozof z Marsylii Berger dowodził, że obfitość systemów filozoficznych spowodowana jest przede wszystkim przynależnością filozofów do rozmaitych typów psychicznych. Belg Devaux z Liege próbował przy pomocy skrajnie idealistycznej i formalistycznej dialektyki skonstruować pojęcie humanizmu, jako wzajemnego dopełnienia dwóch przeciwnych kultur: kultury „niepowrotności” (rozumiał on przez to kulturę socjalistyczną) oraz „kulturę powrotności” (to jest skrajnego indywidualizmu) itd.

I tak zmieniali się kolejno fenomenology, niezdanieści, pozytywiści, neokantycyści i heglisci. Mówili po angielsku, po francusku, niektórzy nawet po niemiecku, zabawiali się tworzeniem nowych pojęć, używali starych terminów, którym nadawali nowy, dowolny sens, wnosząc przez swoje akrobatyczne sztuczki idealizmu subiektywnego i obiektywnego najokropniejsze zamieszanie i krzykliwy dysonans przekonań.

Rozumie się samo przez się, że sekcja poświęcona tematowi „Człowiek i religia” była interesującym miejscem spotkania dla filozofujących teologów i teologizujących filozofów.

To samo widziało się na sekcji etyki, na której wygłoszono 6 referatów: tak samo bez nadziei nuda treść, ogromne mnóstwo sofistematów ubranych w pseudo-naukowa terminologię i ani jednej świeżej myśli, zwróconej ku życiu. Filozofia mieszczańska sama zdemaskowała się tutaj jako służebnica teologii, jako prosty surogat religii, mający te same zadania: upiększyć na wyższy oparty ustrój, skierować człowieka w świat abstrakcji i oderwać go od walki z ustrójem. Ta jest tylko różnica: że religia te jest przystosowana do warstw bardziej wyrobionych filozoficznych.

Jasne, że bynajmniej nie chcę tu twierdzić, jakoby mieszczańscy filozofowie świadomie oddali swoją myśl w służbę kapitalizmowi (choć iść spotkać można i takich); nie chcę też zaprzeczać, że wielu z nich uczciwie dąży do poznania prawdy i pracuje rzetelnie. Jednak-

że ich punkt wyjścia jest błędny, oderwany od rzeczywistości i od człowieka, ich metodologia jest fałszywa, ujmuje bowiem rzeczywistość wypaczoną jakby pokazaną w krzywym zwierciadle.

Naturalnie w naszych czasach, kiedy filozofia mieszczańska, tak samo jak inne części składowe ideologii imperializmu, młota się w śmiertelnym kryzysie, pozytywne jej elementy są niezmiernie rzadkie. Spotkamy je jeszcze u filozofów, którzy zajmują pozycję racjonalizmu walczą z mistycyzmem. Najlichnější przedstawiciele tego stanowiska uprawiają te dziedziny filozofii, które znajdują zastosowanie w pewnych specjalnych dyscyplinach.

Najwięcej takich racjonalistycznych ziarnek rozrzucono w tych sekcjach, które zajmowały się przyrodoznawstwem i matematyką. Ale nawet i te referaty, a także referaty sekcji logiki, psychologii i filozofii języka, traciły swoją wartość skutkiem idealistycznych i antydialektycznych metod.

Nie trzeba specjalnie podkreślać, że idealizm i metafizyka przejawiały się najsilniej na sekcjach filozofii historii, socjologii i etnologii, a także w historii filozofii. Jaka problematyka interesuje w tym zakresie filozofów mieszczańskich? Twierdzą oni, że konieczne jest przejście od „filozofii historii” do „teologii historii”. Uznają metodę związków (szczególnie metodę subiektywno-psychologiczną) dla zbadania dziejów wartości społecznej. Rozmyślają na temat, czy istnieje prawdziwość historii, czy też: jak przeciwdziałać uczuciu samotności człowieka na tle cywilizacji współczesnej. Zajmują się stosunkiem jednostki do społeczeństwa, psychologia narodu, pojęciem „ludu”.

Jakiż jest ogólny wniosek z obrad Kongresu? Oto całkowicie potwierdzona została diagnoza, którą postawił filozof mieszczański wybitny teoretyk marksizm-leninizmu, jeden z wielkich wodzów partii komunistycznej towarzysz Zdanow: „Osiągnięte w drugiej wojnie światowej wspaniałe zwycięstwo socjalizmu, które stało się także zwycięstwem marksizmu, stanęło imperialistom kością w gardle. Centrum walki przeciw marksizmowi przeniosło się teraz do Ameryki i Anglii. Wszystkie siły obskurantyzmu i reakcji skierowane są obecnie do walki przeciw marksizmowi”.

My, którzy braliśmy udział w Kongresie, zerknieliśmy się bezpośrednio z tą ropiejącą, śmiertelną raną współczesnej ideologii mieszczańskiej. Widzieliśmy jej wilczą nienawiść, jej bezsilność i beznadzieję. I tym bardziej utrwaliło się w nas przekonanie, że cel, któremu służy nasza filozofia, jest sprawiedliwy, że wyznawcy marksizmu-leninizmu są bojownikami wielkiej prawdy wyzwolenia człowieka.

Nasza filozofia marksizmu-leninizmu to wielka prawda ludzkości pracującej, ludzkości wyzwolającej się z ucisku, który trwa w ciągu wieków, to płomienny sztandar prawdziwego człowieczeństwa, obmyty krwią najlepszych jego synów i córek, bohaterów o pracowitych rękach, gorących sercach i świątliwych głowach. Filozofowie wyznający marksizm-leninizm uważają za swój święty obowiązek pogłębiać dalej materializm dialektyczny, opracowywać dalej naszą materialistyczną dialektyczną metodę, która ma posuwać naprzód i rozwijać wszystkie dziedziny nauk przyrodniczych i społecznych. Uważają także za swój obowiązek rozpowszechnianie swego światopoglądu wśród szerokiej mas robotników, chłopów i inteligencji pracującej, aby dopomóc im w pokonaniu mieszczańskich i drobnomieszczańskich przesądów, które przejęli lub odziedziczyli, aby światopogląd ten stał się żywą duszą ich codziennego myślenia i odczuwania, niezawodną dla nich wskazówką postępowania w rodzinie, w miejscu pracy, w społeczeństwie.

Jest to praca bardzo odpowiedzialna i wymagająca cierpliwości i wytrwałości, samodzielnego i śmiałego polotu myśli, niezachwianych zasad, stałego zdobywania wiedzy, planowej współpracy i wzajemnej krytyki towarzyszy, śmiałego wysuwania młodych, a utalentowanych sił, zabezpieczania im wszystkich warunków, potrzebnych do dalszego rozwoju naukowego, pokonania wszelkiej indywidualnej próżności, która tak dezorganizuje naukę mieszczańską. Żywymy niezachwianą pewnością, że nasz cel, o którego urzeczywistnieniu marzyły i marzą miliony, jest sprawiedliwy.

Arnosz Kolman
lum. jks

TREŚĆ NUMERU 46

Melania Kierczyńska — Kształtowanie się „Blicza literatury radzieckiej”; Włodzimir Majakowski — Z poematu „Włodzimir Iljcz Lenin”; Przepyszne bzdury; Do domu; Anatol Stern — Spotkanie z Majakowskim; Adam Schaff — Klasowy charakter filozofii; Aleksander Heren — Rzeczy minione; Wiktor Szklowski — Spotkania; Bolesław Dudziński — Uwagi o kulturze radzieckiej; Seweryn Pollak — Mickiewicz w przekładach rosyjskich; Leon Gomolicki — Problem realizmu socjalistycznego; Janina Kulczyńska-Saloni — Powieść o walkach w Stalingradzie; Kronika radziecka; Przegląd prasy; Korespondencja; Noty.

K. W. ZAWODZINSKI

Rozkwit literaturoznawstwa radzieckiego

Są dziedziny wiedzy ścisłej, a zwłaszcza techniki (lotnictwo, radiotechnika we wszystkich odgałęzieniach), w których, zwłaszcza tam, gdzie powierzone, z boku obserwujący fantastyczne zdobycze, codziennie nowe, nie umie oznaczyć ich kierunku i skłania się do wiary w nieskończoność postępu. Inaczej jest z tymi dziedzinami umiejętności, których przedmiotem jest sam człowiek, z wyjątkowością jego sił duchowych i fizycznych, zawsze ograniczonych i powolnym tylko ulegającym przemianom. Przedłużenie życia ludzkiego w tablicy statystycznej o jakiś ułamek roku już jest triumfem w walce ze śmiercią; pobicie rekordu świata w biegu na 100 m o pół sekundy wydaje się nieprawdopodobieństwem, wówczas gdy samoloty już zaczynają wyprzedzać szybkość fal głosowych. Mutatis mutandis, dotyczy to rozwoju nauk humanistycznych. Ich materiały, zapas dokumentów znanych i podległych badaniu, powiększa się bardzo nieznacznie i należy przewidzieć, że w końcu zostanie ogarnięty cały. Możliwe jest nowe oświetlenie posiadanych dokumentów, ale wybór punktów widzenia jest ograniczony, gdyż nie może przeżyć głównym ustalonym faktem. Dlatego też jest tak zdumiewającą rzeczą całkowite odnowienie jakiejś dyscypliny humanistycznej, a zjawisko to możemy zaobserwować, porównując stan literaturoznawstwa w Rosji przedrewolucyjnej z dzisiejszym jego rozkwitem.

To nie oznacza lekceważenia w stosunku do wiedzy o literaturze Rosji w XIX w. Młoda ta na całym świecie umiejętność rozwinięła się szybko na terenie Rosji. W niektórych dziedzinach opierała się już na własnej, starej tradycji, np. teoria literatury, która ma bardzo ciekawych i głębokich poprzedników w pierwotnych prądach poetyki wkraczającego na grunt europejski Rosji klasycyzmu w jego francuskiej odmianie. W zakresie analizy stylistycznej i metrycznej aktualność ich uwag okazała się w czasach bezpośrednio rewolucyjnych w rozwoju „metody formalnej” w krytyce, metody odrzuconej w swych daleko idących wnioskach, ale podjętej w zaprawianiu czytelnika do uświadamiania sobie wartości artystycznych dzieła. Ta sama szkoła krytyki korzystała z pełnych erudycyjnych prac historycznych z dziedziny poetyki opisowej, takich uczonych jak Aleksander Wiesłowski i Potebnia. Największy jednak rozwój i popularność w społeczeństwie miała krytyka literacka, już w pierwszej połowie w. XIX, ozdobiona twórczością prawdziwego geniusza, jakim był Wsławion Bieliński, którego setną rocznicę zgonu uroczyste obchodzili w tym roku Rosjanie Radziecka. Wychowanek filozofii i literatury romantycznej, w oczach niejako czytającej publiczności wyjaśniał wszechstronnie sobie i jej, z niezrównaną wnikliwością estetyczną i talentem pisarskim, fenomen tego wielkiego ruchu umysłowego i literackiego, by w końcu stać się jego ostatnich konsekwencji literackich — realizm oraz społeczno-rewolucyjny demokratyzm i socjalizm — wyznawcą i głosicielem. Od niego bezpośrednio, a równoległe do rozwoju zjawiska o wszechświatowym znaczeniu — realizm powieściowego w Rosji, rozwija się linia wielkich „klasyków” krytyki rosyjskiej, wytyczona głównymi nazwiskami Czernyszewskiego, Dobrolubowa, Pisarewa. Publicystyczny charakter tej krytyki, dzięki wielkim umysłom ją uprawiającym, dzięki subtelności, nieomylnemu smakowi tych pisarzy, nie podkwały jej znaczenia w najogólniejszej funkcji, jaką spełnia krytyka literacka w ramach literaturoznawstwa — wartościowania, selekcji dzieł literackich na użytek historii literatury.

Na samą atoli historię literatury XIX w. dystans był za bliski, więc też jej dzieło, pomimo znacznej ilości pracy w nią włożonej, zostało zaledwie naszkicowane i stało się zadaniem bieżącego wieku. Jeśli chodzi o starszą literaturę, to co się tyczy epok od XI do XVII w. włącznie, jej bezmiarły zostały przepracowane pracą inwentaryzacyjną i erudycyjną, a w znacznej mierze ostatecznie ujęte naukowo. Ale co do wieku XVIII, wieku klasycyzmu francuskiego, jego ocena w epoce romantycznej, więc ze zbyt bliskiego i stronnego stanowiska, unieruchomiła twórczą działalność historii literatury na tym odcinku, zostawiając pole rewizjonizmowi przeważnie w kierunku podniesienia zapomnianych walorów tej literatury. Tak więc obszerne pole działania otwierało się przed historię literatury rosyjskiej na początku bieżącego wieku.

Już przed rewolucją położono podstawy nowej, niejako samodzielnej gałęzi pracy historyczno-literackiej — Puszkinkologii, gdy kult tego poety w okresie symbolizmu, w atmosferze panowania estetyzmu rozkwitł, triumfując nad „pisarzewszczyzną” (jak tradycyjnie zwie się skrajność utylitaryzmu w krytyce) i gdy jednocześnie zebrał uścisk cenzury i pozwolił na odsłonięcie rzeczywistego oblicza politycznego wielkiego poety, szczególnie przedtem zakrywanego, lub wprost fałszowanego „poprawianiem” tekstów. Rozpoczęto również systematyczne, obiektywne badanie literatury XVIII w. znamienną książką Sipowskiego o ówczesnej powieści rosyjskiej. W stosunku do literatury XIX w. przeważało jednak ujmowanie ahistoryczne, impresjonistyczne, szczytów jej twórczości, przykładem służąc mogą głośne wówczas książki Merezkowskiego o Dostojewskim i Tolstoj, o Gogolu, Lermontowie, studium Achenwalda, Gornfelda itp. Dołączający największego ówczesnego kryty-

ka-artystę K. Czukowskiego, możemy mówić o bujnym w dalszym ciągu rozkwicie krytyki literackiej, zajmującej się wciąż prawie wyłącznie szczytami wielkiej literatury rosyjskiej XIX w. acz częściowo z innego stanowiska. Znamienną dla tych czasów jest wielka, o zakroju pomnikowym historia literatury rosyjskiej pod redakcją Owsianiko-Kulikowskiego, z jej wachlarzem metod: obok rozpraw marksistowskich Plechanowa, są tam studia całkowicie w duchu modernistycznego impresjonizmu. Sam redaktor, krytyk wielkiego talentu, stał na pograniczu metody historyczno-kulturalnej, traktującej literaturę jako historię idei i przemian społecznych. Z tego stanowiska rozpatrując dzieło literatury XIX w. zdobył znaczną w swoim czasie popularność, kontynuując krytyki ub. w., Iwanow-Razumnik.

Jednocześnie zaczyna się ożywiać praca nad teorią literatury, początkowo pod płóciem samych poetów (Bielyj, Briusow) i w programach różnych kierunków literackich, jako rozmaicie uzasadnione dokumenty poetyki normatywnej. Porównywał je, głęboko wnikając w zagadnienia teorii literatury (np. w świetnym dialogu przedstawicieli wszystkich, współistniejących w Rosji pierwszego dziesięciolecia lat XX w. kierunków) sam formułując marksistowski punkt widzenia, Lunaczarski, tyle zasłużony później w rozwoju literatury, kultury radzieckiej. Ale w zakresie historyczno-literackiego wszystko pozostawało do zrobienia. Pracy tej dokonało literaturoznawstwo rosyjskie w ciągu ostatniego 30. lat.

II.

A. Najpierw trzeba było ustalić teksty pisarzy, ukazać ich dzieła w całej objętości, naprawić uszkodzenia, porobione przez cenzurę, a często odsłonić zakryte przez nią szczególnie sens główny utworu; przez ogłoszenie wariantów, a czasem całych redakcji początkowych tekstów, dostarczyć danych, jakimi drogami postępowała myśl twórcza, o co autorowi w łosci chodziło. W tym zakresie osiągnięcia wydawnicze i tekstologiczne nauki radzieckiej są gigantyczne. Zobrazujemy je szeregiem przykładów, zaczerpniętych z pracy prof. D. D. Błagoja (w „Uczonych Zapiskach” Uniwersytetu Moskiewskiego, zeszyt 107, z r. 1947):

I. Wydania, że tak powiemy definitywne, o których można powiedzieć, że są bez konkurencji w literaturoznawstwie światowym:

1) Puszkina „akademicki”, 18-tomowy; w nim dwa zupełnie nieznane poematy, po raz pierwszy drukowane w Rosji pełne teksty zabronionych dotychczas przez cenzurę utworów, mnóstwo ineditów w zakresie drobnych wierszy, 26 samych tylko nieznanych listów do pani Chitrowo. Prócz tego zebrane zostały wszystkie, napisane „Ręka Puszkina”, tytuł ogromnego tomu choćby to były notatki jak najdalej od jego twórczości poetyckiej, pisma urzędowe, dotyczące interesów, notatki z książek, excerpty z cudzych utworów (w 16 językach). Prócz tego zebrano i opracowano jego spuściznę rysunkową, bardzo cenną, obfitą i często wyjaśniającą jego twórczość poetycką. Niektóre kajety Puszkina, które ukazują brulionową, jednoczesną robotę nad szeregiem utworów, doczekały się wydań fototypicznych; istnieje specjalny film o jego rękopisach. Prócz tych kapitalnych prac tekstologicznych, zjawilo się w trzydziestolecie 9 zupełnych na poziomie naukowym wydań Puszkina, nie licząc olbrzymiej ilości wyborów i wydań popularnych.

2) Tolstoj monumentalny, 90-tomowy, ukazujący przynajmniej wszystkie niezliczone warianty jego tekstów: mamy np. 22 warianty

ty szkiców niewykonanej ostatecznie powieści o Piotrze I, zachowało się 25 początków 15 rozdziału „Chadzi Murata”, 6 podstawowych redakcji „Zmarłychwstania”, 9 Sonaty Kreutzerowskiej. Ustępy wyrzucone już w korektach z „Wojny i pokoju”, złożyły się na cały nowy tom. Mimo wszystko, wydanie to nie obejmuje całości rękopisów tego genialnego tytana pracy, które stanowiąby około dwustu tysięcy stron druku.

II. Powiększone nowymi znaleziskami i odsłonięte z uszkodzeń cenzuralnych wydanie kompletne:

1) Niekrasow (praca odsłaniająca nad nim, zaczęta jeszcze przed rewolucją przez K. Czukowskiego); powiększony o blisko 50 proc. jego wierszy — 3224 linijek na 47228, prócz kilku, częścią zapomnianych, częścią niedrukowanych powieści prozą.

2) Hercen w 22 tomach, 450 nieznanych dotąd listów.

3) Sałtykow - Szczedrin odsłonięty z całą ogromną spuścizną krytyki literackiej.

4) Bieliński około 200 nieznanych lub pominiętych w zbiorowych wydawnictwach artykułów i recenzji.

5) Tuczew około 30 nieznanych utworów.

6) Turgeniew — poemat „Pop” i około 30 nieznanych „wierszy prozą”.

7) Dostojewski — między innymi cały rozdział z „Biesów”.

8) Nawet tak niewiele piszący, a dbali o swą spuściznę literacką, Gonczarow, figuruje na liście znalezisk z ważną spuścizną — inwektywą pod tytułem, stanowiącym odpowiednik tytułu jego pierwszej powieści: „Niezwykła historia”.

Dorzucić trzeba wydawnictwa typu akademickiego Gogola, G. Uspienskiego, Czechowa, Gorkiego, poetów od Radiszczewa i Kryłowa aż do Błoka i Majakowskiego, oraz pojedynczych utworów np. sławnej powieści Czernyszewskiego „Co robić” w jej postaci przedcenzuralnej.

III. Poza tymi najogłośniejszymi, światowego znaczenia, pisarzami odsłaniano całe połacie literatury, bądź zakazanej, bądź umyślnie trzymanej w cieniu ze względów politycznych, bądź niesłusznie zapomnianej i zdeprecjonowanej. Tu wymienić należy:

1) Pisarzy dekabrystów: (Rylejew, Kuechelbecker, Al. Odojewski), i współczesnych im męczenników politycznych (Poleżajew, Czaadajew), bądź poetów im współczesnych, znanych jednostronnie (Jazykow).

2) Cała plejada powieściopisarzy — „narodników” siódmego i ósmego lat dziesiątka (Mikołaj Uspienski, Słepcow, Rieszotnikow).

IV. W popularnych wyborach, w „bibliotece Poety”, w miniaturowych tomkach „małej serii” teje biblioteki, wydano cały szereg poetów, zwłaszcza z XVIII i z początków XIX wieku, ożywiając zainteresowanie do niesłusznie zapomnianych, wzgardzonych (jak Tredjakowski), lub znanych przedtem wyłącznie z kanonicznego wyboru w wypisach szkolnych (Dierżawin).

B. Mało było wydać teksty, trzeba było je zaopatrzyć w odpowiedni komentarz, wyjaśniający napomknienia tekstu, sens w danym związku użytego słowa, wreszcie związać z życiem literackim, z otaczającą pisarza atmosferą, z powstającymi ówczesnie dziełami, dziś kompletnie zapomnianymi, ukazać miejsce w dziejach twórczości pisarza, i w jego dziejach osobistych (jeśli się nawet nie było „psychologią” w nauce o literaturze). Żeby zdać sobie sprawę z tego, co tu zrobiono

przez 30 lat, trzeba wziąć do ręki jakiegokolwiek komentowane wydanie poety, np. Baratyńskiego (mówię o nim, bo miałem sposobność używania jego wydania z r. 1936 do celów własnej pracy). To, co przed rewolucją dawano tylko w stosunku do Puszkina (w wyd. Wengerowa, które i do dziś nie utraciło swego znaczenia, znajdziemy całe monografie osób, z którymi poeta był w jakiś sposób związany), dziś jest prawdziwym także i w stosunku do wielu innych pisarzy. Badania w zakresie „życia literackiego” epoki, rzucające pisarza na tło ruchów literackich, zagadnień poruszanych przez krytykę, jego sukcesów i porażek, jego utworów w krytyce, stosunków przyjacielskich i korespondencji, zdarzeń politycznych a nawet sytuacji materialnej głównych czasopism literackich, które prowadziły w zależności od tego, dla zdobycia powodzenie, określoną politykę w stosunku do współpracowników, stawiały im określone wymagania dla zdobycia im potrzebnych powodzenia i czytelników — wszystko to wyjaśnia mnóstwo rzeczy w twórczości pisarza i wystawia ją w nieoczekiwanym świetle. Taką np. rewolucyjną książką jest dzieło Tynianowa o pierwszym dziesięcioleciu twórczości Tolstoj. Dla zdobycia odpowiednich dokumentów trzeba było przerobić herkulesowy trud, pojedynczemu człowiekowi niedostępny, nad czasopiśmiennictwem epoki, archiwami, literaturą drugoplanową, zapomnianą.

I. Odsłonięcie tej drugoplanowej literatury należy do największych zasług literaturoznawstwa rosyjskiego ostatniej epoki. Tylko znajomość tej literatury ukazuje w stosunku do niej wielkość szczytowych osiągnięć wielkich pisarzy, stopień ich samodzielności, oryginalności.

II. Odnosi się to nie tylko do ich współczesników. Analogiczne znaczenie posiada odsłonięcie w całej szerokości dziedzictwa, które na nich spadło, literatury, którą się karmiło ich dzieciństwo i młodość. Dlatego w stosunku do wielkiej, światowego znaczenia literatury XIX w. taką wagę posiada odsłonięcie literatury XVIII w., które stanowi jedną z rzeczywistych zasług literaturoznawstwa radzieckiego. Cały szereg pisarzy zupełnie przedtem ukrytych w cieniu, nabiera znaczenia „wielkich przodków” (np. M. Murawiew). Nowego znaczenia i sensu nabrała, zamarta w ciągu 100-letniego przeszło wycierania w podziemnych twórczość najznakomitszych pisarzy epoki od Kantemira, Tredjakowskiego i Lomonosowa po Radiszczewa i Kryłowa.

C. Wspomniane prace wydawnicze i badawcze, były prerastającym siły indywidualnym trudem herkulesowym. Toteż dokonane zostały zespołowo i właśnie umiejętność organizacji takich zespołów pracy stanowi najznakomitszy rys literaturoznawstwa radzieckiego. Ak. N. w Moskwie i Leningradzie posiada Instytut literatury powszechnej, w ramach ich funkcjonują oddziały, komisje, grupy, poświęcone badaniu określonych okresów lub oddzielnych pisarzy, np. Puszkina, Lermontowa, Tolstoj itp. Autonomiczne istnienie posiada Komisja Puszkina w Leningradzie i Instytut Literatury XVIII w. Tego ostatniego właśnie dziełem jest rewolucyjna rewizja twórczości XVIII w.

D. Ale żeby tego dzieła dokonać, nie dość było zagłębić się w archiwach, przetworzyć stare książki i porobić inwentarze. Potrzebna była selekcja, — a do tego — świeże, artystyczne spojrzenie, umiejętność odczucia piękna utajonego w zapyłonej stronicy. Żeby zaś odsłonić i ukazać światu odczute piękności, potrzebna była umiejętna robota analogiczna do pracy artysty restaurującego obraz, wydobywającego wspaniałość jego kolorystyki spod szarobiałej wiekiem warstwy lakierni i sadzy. Tę umiejętność trzeba było technicznie wesprzeć na doskonałej umiejętności analizy stylistycznej, dzieła literackiego, na subtelnym ujmowaniu problemów teorii literatury, poetyki. Wielkie zasługi historyczne „formalnej metody”, krytyki są niezaprzeczone, choć formalizm jako doktryna, jako swoista filozofia literatury, słusznie został odrzucony i potępiony. Mimo to, przy wyliczaniu najbardziej zasłużonych literaturoznawców radzieckich w listach nazwisk, układanych przez najpoważniejszych w swoim czasie wrogów formalizmu, nie są pomijane nazwiska czołowych niegdyś przedstawicieli tego kierunku Gukowskiego, Winogradowa, Winokura, Grossmana, Zirmuńskiego, Tomaszewskiego, Tynianowa, Eichenbauma. Ich zasługom należy przypisać, że nigdy bez związku, choćby, lecz dostatecznej analizy artystycznej strony dzieła, nie odbywa się nawet popularny wybór utworów któregośkolwiek poety, poprzedzony wstępem. Dzięki temu, dzięki zawsze pozostającemu na oku rozróżnieniu wartości społecznych, dzieła i jego walorów artystycznych, rozkwit wiedzy o literaturze jest nie tylko bogaty ilościowo, ale daje również trafny obraz i hierarchię dokonanych, interesujących ilości literatury nie tylko w Związku Radzieckim, ale i na całym świecie, odpowiednio do wszechświatowego znaczenia literatury rosyjskiej.

Nie trzeba podkreślać w tej całej sprawie dobroczynnej roli marksizmu, jako czynnika nadrzędnego, do którego zasług należy nie tylko obalenie błędów formalizmu, ale również korygowanie nadmiernych uproszczeń w związaniu faktów literackich z rozległą dziedziną historii, i ze zjawiskami społeczno-gospodarczymi: bardzo energiczne zahamo-

WALERIAN GAPIRINDASZWILI

MARZENIE

Sztuka — jedyne moje włości,
A wszystkie, które świat tak ceni,
Padło tego wspaniałości —
Marność marności i cień cieni.

Wciąż myślę: wiersz czy dać potrafię,
Gdzie myśl się wreszcie ucieleśni —
Wiersz, co by był jak auto-da-fé
I niby dźwięk łabędziej pieśni.

Lecz teraz sądzę już, że dość mi
Kłopotów, serca palpacji,
Figur i tropów, bezsenności
I rymów i alliteracji.

Dość! Temu dziś położę kres ja
Wierszem spod sera tak wyjętym,
Jakby to była nie poezja,
Lecz karta z moim testamentem.

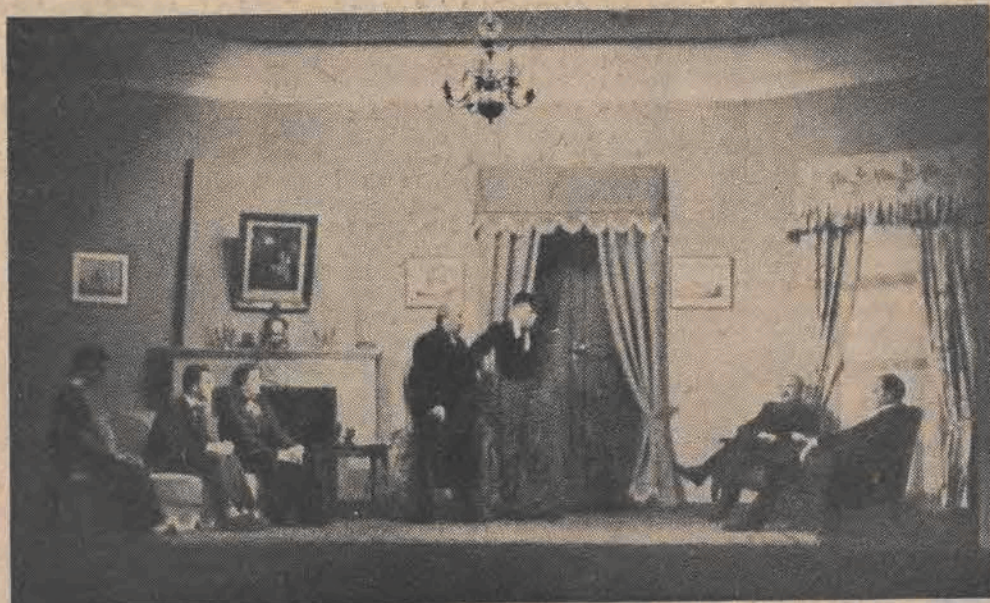
— Rozpostrzyj! — powiem — skrzydła czarne
Nade mną, śmierć! Dość mającej!
Ziemia do piersi mnie przyciemni!
Niebo gwiazdami mnie oplacie.

Od dawna czekam już jak ruda
Takiego poematu żebym
Na wielki wrósłszy w pamięć ludu
Żyć dłużej nie miał już potrzeby.

1926

przełożył Artur Sandauer

Z TEATRÓW ŁÓDZKICH



Teatr Kameralny w Łodzi „Kadet Winslow” Terence Rattigan. Od lewej: Halina Kossobudzka, Edward Dziewoński, Helena Buczyńska, Konstanty Pagowski, Kadet Ronnie, Adam Mikołajewski, Janusz Jaroń. Reżyserował Erwin Axer, dekoracje Władysława Daszewskiego.

TEATR KAMERALNY

wanie skrajności tzw. „wulgarnego socjologizmu”, który analogicznie do ekskluzywności planów tworzenia tzw. „Literatury proletariackiej” w epoce „Lefu” i „Proletkultu”, przewycięzonej dzięki szerokiemu humanizmowi Gorkiego, został potępiony i usunięty z praktyki literaturoznawczej. Szerokość spojrzenia na wiedzę o literaturze, ujawniona przez marksizm, przeprowadziła ją między Scyllą i Charybdą wymienionych niebezpieczeństw i dała podstawę do ściśle naukowego potraktowania zagadnień historyczno-literackich w szeregu fundamentalnych opracowań i zbiorów wydawnictw, wśród których w pierwszym rzędzie wymienić należy trzydziestotomowe już dziś conajmniej „Literaturoznawstwo”, gdzie w każdym niemal studium świeci triumfy istotne nowatorstwo badawcze, oparte o szeroką erudycję i głębokie zagadnienia. Nowo odkryte materiały biograficzne, są ukazane w ich istotnym związku z danym problemem, odgródzone od amatorstwa biograficznego; fragmenty życia literackiego są ukazane w świetle osiągnięć dzieł narodu i życia gospodarczego rosyjskiego; związki z myślą i literaturą europejską (np. w tomie poświęconym Lermontowowi) są ujęte głęboko w niczym nie przypominającą pedantycznej wpływością ani nie umniejszając wielkości i samodzielności pisarza. Odkrywcze i rzucające światło na istotną ludowość tego poety jest studium poświęcone recepcji jego poezji przez masę ludową, włączenie jej do folkloru. Wartościowe dzieła przeszłości, wsparte na ocenie dawnej krytyki, jest ugruntowane i możliwie obiektywizowane, narzuca się z nieodpartą siłą.

Syntetyczny, na wielką skalę zakrojony obraz literatury radzieckiej ma dać zbiorowa 10-tomowa historia literatury rosyjskiej, przygotowywana przez Ak. Nauk; 4 tomy już wyszły.

III.

Zwracaliśmy dotychczas uwagę na rozwój wiedzy o literaturze rosyjskiej. Ale aktywność literaturoznawców radzieckich do niej się nie ogranicza. Nie posiadamy wyczerpującego przeglądu działalności uczonych rosyjskich z galezi wiedzy o literaturach nierosyjskich, ale znam poszczególnie, znamienne fakty. Wspaniałe wydanie Lukrecjusza w tekście łacińskim, z przekładem w heksametrach rosyjskich na przeciwległej stronie miałem w ręku. O literaturach nowożytnych wiem nieco więcej. Pomijam już prace typu „Goethe w Rosji”, kapitalne, wszechstronne dzieło wszędzie ujawniającego swój talent i erudycję Zirmunskiego, które jest raczej wspaniałym, choć ze specjalnego stanowiska oświetlającym 160 lat literatury rosyjskiej, ale które mogło być dokonane przez germanistę z wykształcenia. Ale także Zirmunskij, prócz osobnych rozpraw, jest współpracownikiem i duszą redakcji zbiorowej historii literatury angielskiej, której tom o XVII — XVIII wieku jest kapitalnym źródłem wiedzy i to wiedzy żywej o tym piśmiennictwie. Na jakim poziomie stoi anglistyka rosyjska mówi fakt ukazywania się całości dzieł Szekspira, nie tylko w przekładach, w licznych popularnych wydaniach, ale i po angielsku. Równoległe zjawia się wspaniałe ilustrowana, wielka historia literatury francuskiej, w której I—800 stronicowy tom obejmuje literaturę do Wielkiej Rewolucji. Wśród kolegium redakcyjnego, którego spis zaczyna się od nazwiska uniwersalnego Zirmunskiego i wśród współpracowników rozpoznaje dawnych uczoiów i nawet nauczycieli najstarszej w Rosji romanistyczno-germanistycznej szkoły, założonej na uniwersytecie petersburskim przez Aleksandra Wiesielowskiego. Ich dzisiejsza aktywność jest sama dowodem wysokiego poziomu nauki w tej galezi. Związany z ustrojem Radzieckiego Związek rozwój narodowości, najmniejszych nawet zwrócił studia lingwistyczne w kierunku badań nad językami i kulturą romańskich i germańskich grup narodowościowych na terenie Związku: Włochów, Rumunów (i Greków) nad Morzem Czarnym, Niemców za Wołgą i za Kaukazem, resztek Gotów, istniejących przed paru jeszcze wiekami na Krymie.

W związku z tą samą właściwością ustrojowo-polityczną, rozwinęły się w Rosji na najwyższą skalę międzynarodową, studia orientalistyczne, wszytkich odcieni. Iranistyka, arabistyka, studia nad językami grupy fińskiej, tureckiej, mongolistyka, sinologia badania grup językowych na Kaukazie i u stóp Pamiru, niekiedy b. drobnych, po kilka tysięcy ludzi liczących, często zupełnie samistnych, nie związanych z żadną większą grupą, unikatów w swoistym rodzaju, których badanie posiada niezmierną doniosłość z punktu widzenia językoznawstwa ogólnego. Z punktu widzenia literackiego, są między nimi języki posiadające wielką twórczość niepiśmienna, ludowa, a są inne posiadające obrzniętą przeszłość kulturalną, wielkie, nieśmiertelne dzieła literatury. Dzięki literaturoznawstwu radzieckiemu, zabytki te zostaną poznane, ocenione w swej piękności i udostępnione, co najważniejsza, europejskiemu czytelnikowi. Rustawelli, Nizami, Nawoi i inni, stali się tam bliscy, a dostępnym naszymu poznaniu, dzięki rozszerzeniu zakresu literaturoznawstwa radzieckiego, które z tą samą umiejętnością, z jaką gospodaruje w zasobach rodzimych, umiała zorientować się w skarbach literackich innych krajów, i to egzotycznych, należących do Związku. Ale i ta, jego szerokość jest bodaj mniej zdumiewająca, niż przeistaczająca siłą, ukazana na stosunkowo wąskim odcinku: w obrazie własnego piśmiennictwa XVIII i pierwszej połowy XIX wieku.

K. W. Zawodziński

SZTUKA Terence'a Rattigana „Kadet Winslow”, napisana niedawno i po raz pierwszy wystawiona w Londynie w 1946 r., opiera się, jak czytamy w programie, na autentycznym wydarzeniu, głośnym w swoim czasie, w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową. Na scenie ukazuje się rodzina ze średniego mieszczaństwa angielskiego i widz dzisiejszy odnosi wrażenie, że autor bardzo solidnie wniknął w ówczesny styl życia, w układ stosunków, w stan pojęć i myśli, wyrzekając się łatwych akcesoriów. Gramofon w pierwszym akcie z lekka tylko markuje archaiczne już dla nas szczegóły obyczajowe. Autor wyrzekł się łatwego dowcipu, który osiąga się efektywną konfrontacją naszego doświadczenia historycznego z naiwnością ówczesnych przewidywań o losach świata. Odniósł się do ówczesnych ludzi solidnie i poważnie, może z jakimś szczególnym sentymentem, odnalazł w banalności życia rodzinnego tony ciepłe i szlachetne. Chętnie uwierzyłem, że odezwały się w nim najlepsze dickensowskie tradycje literatury angielskiej. Dawno wyrosłem ze złudzeń, jakoby sztuki ukazujące rozkład rodziny mieszczańskiej, ten ulubiony temat naturalistycznej literatury, miały dziś sens postępowy i chętnie oddychałem atmosferą przyswojonych stosunków rodzinnych w sztuce Rattigana, który ma ambicję pokazania szerszego mechanizmu stosunków społecznych. Sztuka rozwija się miarowo, w powściągliwym tempie, przypominającym, zasady teatru Czechowa. Dość prosta, jednolita, a jednak ciągle dziejąca się akcja zaciekawia, wciąga, absorbuje. Widocznie sztuka jest skomponowana z niepospolitą umiejętnością.

Idzie w tej sztuce o sprawiedliwość sądową. Temat dla owych lat charakterystyczny. Od czasu sprawy Dreyfusa mieszczaństwo wzywało się społecznie w głośniejszych procesach sądowych. Walka o sprawiedliwy wyrok sądowy miała być również pozytywną dla ludu, namiastką, zastępującą walkę o sprawiedliwość społeczną. W sprawie kadeta Winslow rozgrywa się charakterystyczny dla owych czasów konflikt między obywatelskim poczuciem praw jednostki a oschłą, bezduszną procedurą wojskową. Admiralicja wydalila kadeta Winslow za kradzież drobnego przekazu pieniężnego. Sprawa przeprowadzona była w pośpiechu i takim trybem, że oskar-

żonemu mogła stać się krzywda. Ale istnieje inne forum, na którym prawda staje się łatwo uchwytna. To forum rodzinne, wzajemne zaufanie ojca i syna. Ojcu wystarczy oświadczenie syna, że nie popełnił przestępstwa. Ojciec Winslow wszczyna sprawę o rehabilitację. Działania przez prasę, przez opinie publiczną. Podobnie, jak w sprawie Dreyfusa, sąd wojskowy ponownie uznaje oskarżonego winnym przestępstwa. Ale stary Winslow, a zwłaszcza siostra chłopca, Katarzyna Winslow, młoda sufrażystka, nie dają za wygraną. Sprawa Winslowa dochodzi do Izby Gmin...

Autor gromadzi wszelkie argumenty, aby wykazać, że ta walka o sprawiedliwe orzeczenie sądowe nie ma żadnego sensu ze stanowiska rozsądku i praktyki życiowej. Młody Winslow chodzi do innej szkoły, nikt mu nie wypomina, przepisał nawet wyrok w swojej sprawie, bo właśnie poszedł do kina. Wyrok taki czy inny nie odegra żadnej roli w losie tego młodego chłopca, nie będzie miał żadnych skutków moralnych. Sprawa drobnego przekazu nie ma większego znaczenia, niż symboliczna złotówka, tymczasem kosztła afery fatalnie niszczą cały stan posiadania rodziny Winslow, niweczą plany małżeńskie córki, obniżają start życiowy starszego syna. Wydaje się, że autor chce wyznaczyć, jak walka o sprawiedliwość w tym układzie stosunków staje się donkiszoterią, a zwycięstwo nie pokrywa kosztów gry, co więcej, jak idea sprawiedliwości zmienia się w rozgrywkę polityczną i parlamentarną. Stary Winslow jest już bliższy załamania się i rezygnacji, ale sprawa, której nadał bieg, nie dotyczy już jego syna; podjęta przez adwokata, ambitnego polityka, sprawa weszła w zawładną grę polityczną. Słowem, autor ukazuje szeroki horyzont rozciągający się za najwymyślniejszą monomanią starego Winslowa i do brodzusznym nonkonformizmem jego córki Katarzyny, ale ukazuje po to, aby w ostatnich scenach ukreślić kark ciałemu realizmowi sztuki. W ostatnich scenach autor usiłuje w nas wmówić, że wytrawny polityk, poświęcił swoją karierę dla sprawy chłopca, dla którego kino jest ważniejsze od wyroku. Adwokat sir Robert Morton i Katarzyna Winslow obiecują sobie, że jeszcze się spotkają, ale jako przeciwnicy polityczni na ławach Izby Gmin, szlachetni przeciwnicy w dżentelmeńskiej angielskiej rozgrywce parlamentarnej.

JAN REYCHMAN

Zbójnictwo karpackie w nowym oświetleniu

W jednym z ostatnich numerów radzieckiego czasopisma historycznego „Woprosy Istorii” ukazał się niezwykle interesujący artykuł ukraińskiego uczonego E. Drakohrusta: „Podkarpacie galicyjskie w XVI w. i ruch zbójniczy”. Artykuł ten godny jest uwagi nie tylko ze względu na temat ale i metodę, pierwszy raz zastosowaną przy tego rodzaju badaniach. Porusza on zagadnienie dawnego zbójnictwa w Karpatach i aczkolwiek zajmuje się przeważnie Karpatai Wschodnimi, obejmuje dziedzinę nam bliską, dotyczy zagadnień nie obcych naszym Karpatom.

Dawne zbójnictwo w Karpatach — to temat od wielu lat nęcący historyków i etnografów, socjologów, historyków literatury i prawa, poetów i powieściopisarzy, artystów filmowców. Janosik, Kostka — Napierki, Dobosz, Ondraszek, Proćpak, postacie pociągające zarówno malarza, jak surowego historyka stosunków społeczno-gospodarczych, zarówno etnografa, jak reżysera filmowego.

Prace historyczne Kubali, Długopolskiego, Szczotki, Wróbla, J. Krzyżanowskiego, poezje słowackie Zaborskiego, Botto, Chalupki, utwory polskie Teltmajera, Galicy, Orkana, St.

R. Dobrowolskiego, grafika Skoczylasa i Cieśliewskiego, kompozycje muzyczne Mahe-na czy Szymanowskiego, legenda ludowa we wsiach słowackich, polskich, ruskich opracowana swego czasu przez ukraińskiego etnografa Hnatliuka — to wszystko stworzyło wdziedziczną postawę do poważnego studium tak samego zjawiska zbójnictwa, jak i wytworzenia się specyficznej legendy o „dobrym zbójniku” i refleksu tej legendy na literaturę i sztukę.

Dotychczas tego studium nie ma. Tak podstawowe zagadnienie, wyrastające z zasadniczego układu sił społeczno-ekonomicznych na terenach Karpackich w przeciągu trzech wieków, będące najmocniejszym refleksem wynikłych stąd konfliktów klasowych, ciągnące potem w wynikłej z tego układu sił legendzie o wyjątkowej sile i dynamice, żywej do dziś dnia — nie doczekalo się dotąd należytej naukowej oceny.

Wszystkie dotychczasowe prace o zagadnieniu zbójnictwa wspominają co prawda o łączności powstania zjawiska zbójnictwa i tworzenia się legendy zbójniczej z losami chłopstwa w czasach pańszczyźnianych, ale częśc genety zjawiska zbójnictwa kładą na karb abstrakcyjnych, tkwiących rzekomo w naturze góralskiej tęsknot za swobodą, i dążenia do omijania prawa, pochodzenie legendy

No i diabeł wzięli całą śmiałość pana Terence'a Rattigana. Kroić na realiste, ukazującego mechanizm społeczny, a potem tak haniebnie rejterować przed prawdą — potrafi tylko dżentelmen angielski z roku 1946.

Łyzka dżegciu dolana do beczki miodu dokumentnie zmienia smak całej zawartości. Okazuje się, że ciepłe i szlachetne tony życia rodzinnego służą za pochwałę angielskiego stylu życia. Afera Winslowa jest pochwałą angielskiego parlamentu. Za rozgrywkami o karierę polityczną kryje się bezinteresowna szlachetna dusza dżentelmena. Stary Winslow wystawia się na dudka i rujnuje byt swojej rodziny, aby przekonać nas, że rozgrywka o symboliczną złotówkę sprawiedliwości dla praktycznego Anglika jest ważniejsza nad wszystko. Widocznie takie sztuki potrzebne są dzisiaj mieszczańskiej publiczności angielskiej. W czasach, kiedy imperializm wielko-brytyjski odniósł sukcesy, Angliki lubili się przedstawiać, jako dżentelmeni praktyczni. Skąd do Anglików ten ideał szlachetności niepraktycznej i pokłóconej ze zdrowym rozsądkiem, to credo quia absurdum? Krachujący imperializm pociesza się, jak może, i ten sentyment, z jakim autor „Kadeta Winslowa” wspomina okres sprzed pierwszej wojny światowej, okres świetności i najlepszych nadziei, z pewnością wywołuje czule westchnienie, przyjemnie ogłupia i krzepi widownię. Steruj, Brytanyo...

Dlaczego posterował sobie za Terence'm Rattiganem Teatr Kameralny Domu Żołnierza w Łodzi, na to nie potrafilibym dać rozsądnej odpowiedzi. Może po prostu dlatego, że sztuka daje nieczęsto trafiającą się w teatrze współczesnym okazję do rozwinięcia solidnej pracy reżysera i artystów, chociaż taka racja, fachowa a bezideowa, nikogo dziś nie przekona. Teatr Kameralny ma zasłużoną opinię najlepiej, najrzetelniej opracowanych spektakli. Nie zważałbym się powiedzieć, że w okresie powojennym nie mieliśmy chyba lepiej wystawionej sztuki kameralnej, niż „Kadet Winslow”. Reżyser Erwin Axer pokazał bardzo wysoką klasę techniki realistycznej, nadając akcji tok niezmiernie płynny i naturalny, wyciągając z „podtekstu” całe bogactwo stosunków rodzinnych i zmieniających się dyspozycji psychicznych. Artur Winslow w interpretacji Konstantego Pagowskiego — filister, uroczyste celebrycja obyczaj mieszczańskie, który przemienia się w tragicznego don Kichota, to dużej miary kreacja. Zdziało mi i myśle, że zdziało wszystkim — młodociany artysta, który ze względu na swój wiek występuje ananimowo w roli kadeta Ronnie Winslowa: postawiony w tak rozmaitych i często trudnych sytuacjach, w każdej reaguje naturalnie, prawdziwie. Sir Robert Morton Janusza Jaronia, zwłaszcza w trzecim akcie, był triumfem matematyki aktorskiej. Role Dickie Winslowa grał Edward Dziewoński — wybitny aktor rewiiwy okazał się doskonałym aktorem w sztuce obyczajowej. Z dużą też satysfakcją oglądałem w roli Katarzyny Winslow — Halinę Kossobudzka, której talent najlepiej rozwija się w repertuarze realistycznym. Helena Buczyńska, Irena Horecka, Stanisław Bieliński, Andrzej Łapicki rzetelnie uzupełnili szarmonizowany zespół, tylko groteskowy epizod Wandy Jakubińskiej niepotrzebnie odbiegał od stylu, w jakim sztuka została ujęta. W dekoracjach i kostiumach Władysław Daszewski, który zawsze przestrzega słusznej, jedynej artystycznej słusznej — zasady przystosowania oprawy do charakteru sztuki, pokazał tym razem artystyzm skromności: stroje z czasów sir Greya nieprzejaskrawione i wnętrza urządzone tak dyskretnie, że przez cztery akty żaden szczegół nie przeciążył widza i nie zdraźniał jego spojrzenia.

Adam Ważyk

zbójniczej tłumaczyły często „poetycznością duszy wiejskiej”.

Nie dawały więc odpowiedzi dlaczego w tych, a nie innych okolicach, w pewnych ściśle określonych okresach szerzyło się zbójnictwo, ani na kwestie, co było podstawą nieśmiertelności legendy o zbójniku, który bogatych rabował, aby biednym dawać. Do umiejscowienia historycznego i geograficznego zjawiska, konieczne były nowe metody, oparte na dokładnej analizie sił społeczno-ekonomicznych.

II.

Historyk radziecki odrzucił przesłanki idealistyczne, faktu występowania zbójnictwa nie wziął za fakt oderwany wypływający tylko z jakichś tęsknot do swobody, pędu do wolności, czy porывów poetyczno-romantycznych, za fakt oderwany w czasie i przestrzeni. Zbadał on wydane przez Hruszewskiego źródła do dziejów społeczno-gospodarczych Ukrainy, ogłoszone przez Pawińskiego rejestry podatkowe czy poborowe, listy straszące królewscy, następnie księgi sądowe, referendarskie, przestudiował Balzera „Rejestr złoczyców grodu sanockiego”, prace Linniczenki, K. Dobrowolskiego, L. Ba-

ranowskiego, Downar-Zapolskiego, Kadleca, Rutkowskiego, zebrał notatki odnoszące się do procesów i wyroków na chłopów itd.

Te wszystkie materiały posłużyły mu do gruntownego, pogłębionego studium tego zagadnienia. Drakohrust zwraca najpierw uwagę na okres, kiedy zbójnictwo zaczęło silnie występować w Karpatach. Jest to XVI wiek — okres, kiedy szlachta przeobraża się w gospodarzy rolnych, a „od eksploatacji swoich chłopów za pomocą czynszów w naturze szlachcie przechodzi do twardej eksploatacji pańszczyźnianej”. Otwiera się rynek wewnętrzny, szlachta bierze się do eksportu zboża. Proces ten, wbrew zdaniu wielu dotychczasowych historyków, bynajmniej nie ominął Podkarpacia, a „lokalizacja folwarków wskazuje, że ten proces odbywał się tam, gdzie rosły miasta, gdzie blisko były rynki zbytu dla zboża”. Ten proces naruszający dotychczasowe postawienie chłopów, zmuszający ich do nowych ciężarów, a wślad za tym do walki i oporu, dotarł i do gór. Jakże tu napatkał układy stosunków i jakie tu wywarł przeobrażenia, jakie zmiany w układzie sił — to musiał zbadać uczony radziecki, chcąc dotrzeć do genyzy zagadnienia zbójnictwa.

III.

Wsie podkarpackie w okresie zaciskania się okowów pańszczyzny nie były bynajmniej żadnym monolitem społeczno-ekonomicznym. Przedstawiały one zróżnicowanie tak pod względem wewnętrznym uwarstwienia, jak i pod względem ustroju. Były wsie królewskie i wsie szlacheckie, były wsie na prawie polskim, ruskim, czy wołoskim. Te ostatnie były poprzednio najbardziej uprzywilejowane w stosunku do wsi na prawie ruskim czy polskim, ich ludność więc najsilniej zareagowała na atak ze strony dworu, te wsie wołoskie były też, wedle Drakohrusta — „gniazdami przyszłego zbójnictwa”.

Tak samo Drakohrust wskazuje, że element zbójnicki rekrutował się z okolic związanych w jakikolwiek sposób z królewskimi. Wylicza dla przykładu około 80 wsi, wśród nich tak słynne w dziejach zbójnictwa osady jak Peczeniżyn, miejsce urodzenia Dobosza lub Berezów, główny teren jego działalności. Dlaczego? Dlatego znów, że te wsie były terenem ostrych walk chłopstwa ze szlachtą, starającą się tu rozszerzyć swe posiadłości. Powoduje to ucieczki chłopów, ba nawet zupełne nieraz opuszczenie przez nich całych osad.

Osobne miejsce zajmuje warstwa zagrodników „podsadków”, stanowiących nieraz na podstawie badań uczonego radzieckiego do 10,6 proc. ludności. Ten element zagrodniczy, bezrolny tworzy nową grupę wydziedziczonych, niezadowolonych, materiał do buntu, jego znów rozmięczenie utatuił nam geograficzne umiejscowienie ognisk zbójnickich.

Między chłopami a szlachtą, między ciemiężonymi a panami, pośrednie miejsce zajmowała grupa soltysów (we wsiach wołoskich „kniżie”), tworzący „drobno-feudalną średnią warstwę, która sprzyjała rozszerzaniu się zbójnictwa”. Tak synem „kniżia” był przywódca mas ludowych Pokucia Slemon Wysoczan. (Możemy tu posłużyć się analogią do „marszałka” Łęgowskiego przy Napierskim). Ale równocześnie z innych dokumentów wiemy o soltysach, jako o ciemiężycielach mas ludowych. Wynikało to z tego, że u najdrobniejszej szlachty, u tych soltysów, grał jeszcze rolę „żywiół rozboju charakterystyczny dla tego wołosko-feudalnego środowiska”, który wyładowywał się w zwykłym rozboju, ale „w miarę wzrostu antagonizmów klasowych ustępował miejsce kierunkowi o określonym obliczu społecznym”.

Takie jest tło społeczno-gospodarcze, takie jest podłoże geograficzne zbójnictwa w Karpatach. W miarę zaciskania się żelaznej obręczy pańszczyzny, zwiększającego się nacisku dziedziców, ba nawet usuwania siłą chłopów z ziemi rodzą się pierwiastki niezadowolenia, przechodzące w opór, a nawet i bunt. W miarę zaostrzania się tych antagonizmów chłopci przechodzą — jak pisze Drakohrust — „od legalnej obrony do ozięnej walki”. Chłopi opuszczają wsie i uciekają w lasy, gdzie łączą się z dezertierami, pasterzami wołoskimi, zmuszonymi do oddawania swych pastwisk, zbierają się pod przywództwem osobników, pochodzących nieraz ze środowiska drobnej szlachty, czy „kniżiów” wołoskich, czasem nawet radykalnych inteligentów (rektor Radocki — legenda o studenckim pochodzeniu Janosika). Proces ten wzrastał w miarę rozszerzania się apetytów wielkiej szlachty i Drakohrust śledzi go z suchych kart ksiąg referendarskich czy lustracji, podających nam cyfry zbiegłych chłopów, ze skarg chłopstwa czy też akt procesów. Tak na przykład wydany przez O. Balzera „Regestr złośliwych grodu sanockiego” zawiera mnóstwo wiadomości o dokonanych czynach uważanych za czyny zbrodnicze, za proste rozbój, które jednak nie były niczym innym jak aktami rozpaczy, doprowadzonego do ostateczności chłopstwa lub formami jego samoobrony czy też nie ujętej jeszcze w ramy zorganizowanej świadomej akcji walki ozięnej.

IV.

Odnosząc się przeważnie do Karpat Wschodnich praca Drakohrusta stwarza szerokie horyzonty dla prac nad analogicznym zagadnieniem i w Karpatach Zachodnich. Szereg prac czy przyczynków dawniejszych i no-

wszych St. E. Radzikowskiego, Łukasika, Wróbla, Szczotki, Zborowskiego, Marcza, Józefa Krzyżanowskiego dorzuć wiele cennego materiału do zbadania zagadnienia zbójnictwa w Karpatach Zachodnich. Atoli w dalszym ciągu brak tu ramowego, całokształtowego, syntetycznego opracowania. I tu praca Drakohrusta może być dla nas drogowskazem. Tak jak w stosunku do swego terenu uczynił to radziecki uczonego tak i przyszli badacze zbójnictwa w Karpatach muszą rozszerzyć i pogłębić dotychczasowy zakres badań. Należy i tu zanalizować te warunki społeczno-gospodarcze, które spowodowały takie a nie inne rozmieszczenie ognisk zbójnictwa. Tym bardziej, że mamy tu cenne materiały z lustracji, ksiąg referendarskich, sądowych, ławniczych sądeckich i innych. Prace Baranowskiego, studia Długopolskiego o rządach Komorowskiego pozwolą nam na ocenę wzrastających ciężarów chłopstwa, ataków na ich prawa, losów ludności w dobrach królewskich, szlacheckich czy we wsiach wołoskich. Powiązać to musimy nie tylko z buntami Napierskiego, który stale domagał się gruntownego oświecenia (ciekawym faktem występowania inteligentów w tym ruchu jak rektor szkoły Radocki, który z Napierskim podniósł bunt górali), ale z innymi tego rodzaju ruchawkami na naszym Podkarpaciu, a nawet na ziemiach sąsiednich. Albowiem bunty chłopskie na naszym Podhalu nie były bynajmniej czymś oderwanym, ale wiązały się z podobnymi ruchami, powstałymi w tych samych warunkach geograficznych i społeczno-gospodarczych, gdzie występowały te same siły i powstawały analogiczne antagonizmy, i co za tym idzie — konflikty. W tym samym czasie,

kiedy górale ruszali do boju pod Kostką Napierskim, czy potem przeciw Komorowskiemu na sąsiedniej Orawie zasilił chłopci powstańcy Piki, w Liptowie rozgorzało powstanie Piotra Cszazara. Komorowski miał swego odpowiednika po południowej stronie Tatr w postaci okrutnego żupana Kacpra Ilesházege. Ale powiązania były dalsze i szersze, gdyż cały obszar południowo-wschodniej Europy, obszar karpacko-dunajski-przechodził podobne wstrząsy od powstania chłopskiego Dózsy na Węgrzech w XVI wieku aż po insurekcję Hory i Krizana w Siedmogródzie i bunt chłopów jabłonkowskich przeciw cesarzowi w osiemdziesiątych latach.

To było podłoże, na którym wyrastało zbójnictwo, jako forma odruchu jeszcze niezorganizowanego, czasem dorywcze samoobrony.

V.

A wreszcie pozostaje zagadnienie samej tradycji zbójnickiej, samej legendy „o dobrym zbójniku”, legendy przechowywanej i utrzymywanej tak wytrwale, a odnoszącej się do wszystkich zbójników na całym świecie, ba, odnajdywanej w podobnym brzmieniu tak w Pirenejach, czy Apeninach, jak i w Kaukazie czy górach Anatolii. Tutaj również musimy przeorać z gruntu badanie nad genyzy tego zjawiska, powstałego na tle określonych przesłanek społeczno-ekonomicznych, wśród środowiska widzącego w zbójnikach sojusznika we wspólnej walce przeciw wyzyskiwaczom, przeciw ciemiężcom, panom, zandarmom, pandurom, „filancom” jegrom i pa-

PRZEGLĄD PRASY

OTATNE numery „Nowin Literackich” przyniosły sporo materiałów dotyczących spraw literatury, a opracowanych z punktu widzenia krytyki marksistowskiej. Pisałem tu już o ciekawej pracy Heleny Usijewicz, która posługując się lenińską oceną dzieła Lwa Tołstoja postarała się przedstawić polskiemu czytelnikowi podstawowe zagadnienia krytyki marksistowskiej.

Z kolei w nr 45 „Nowin” ukazała się praca Georga Łukasza w przekładzie Romana Karsta. Praca Łukasza wydaje mi się niezwykle aktualna w chwili obecnej, gdy przed literaturą krajów demokracji ludowej stoi nowe, trudne bezwzględnie dla pisarzy zadanie, polegające na tym, by osiągnąć artystyczną i ideologiczną jedność dzieła, jedność, która służyć będzie nowej ludzkiej moralności.

Pisze Łukacs szczególnie interesująco o zagadnieniu tradycji, której przejmowanie może być według niego plodne jedynie wtedy, gdy będzie świadome i gdy tradycja ta będzie oceniona dialektycznie. Niemniej interesujące są rozważania tematy literatury współczesnej. Postaram się zacytować tu fragment, który, jak mi się zdaje, wnosi wiele światła w te trudne sprawy, przy czym autor nie ukrywa bynajmniej, iż są to sprawy trudne. „Drugą grupę zagadnień (obok zagadnienia stosunku do tradycji — przyp. ph.) tworzy współczesna literatura i sztuka. I tutaj jest sytuacja nawet dla marksistów często niejasna. Z jednej strony bywa treść dzieła sztuki gwałtownie oddzielana i rozpatrywana odrębnie, uznaje się tylko sztukę, która jest jawnie rewolucyjna, jawnie proletariacka, podczas gdy wszystko pozostałe zostaje odrzucone in toto. Bądź też rozpatruje się odrębnie formę artystyczną. W konsekwencji rodzi się fałszywe wrażenie, że rewolucja społeczna musi automatycznie pociągnąć za sobą rewolucję formy, jak gdyby tylko rewolucja formalna była odpowiednim

wyrazem rewolucji realnej. Z tego punktu widzenia wydaje się, że wszelka sztuka przeszłości jest zupełnie przeżyta i burżuazyjnie trywialna, a tylko nowoczesny awangardyzm jest prawdziwie rewolucyjny. Ta mylna teza wiedzie do różnych błędnych stanowisk. Przede wszystkim sztuka nie jest uznawana za prawdziwą, jeśli nie ma charakteru zaczepnego. Powoduje to zwężenie pojęcia, które Lenin określił słowem „partyjność”.

Są również tacy marksiści, dla których powstrzymywanie się od głosu w sprawach stylu i formy jest pewnego rodzaju ucieczką duchową, w ten sposób rezygnują zupełnie z „partyjności” na korzyść estetyzmu”.

Aby rozstrzygnąć te trudności Łukacs stawia pytanie, co reprezentuje obiektywnie dzieło sztuki? „Albowiem przedmiotem analizy marksistowskiej nie jest zamiar autora, lecz artystyczna rzeczywistość jego dzieła”. Łukacs wskazuje dwa skrajne fronty, na których należy prowadzić walkę — naturalizm i niezgodna z prawdą opisowość, zafalszowana forma, zafalszowana treść. Musimy — pisze Łukacs — uznać i podkreślić humanistyczną funkcję sztuki, która jest w trudnych czasach źródłem uzdrowienia człowieka, w sześćsiu dniach wartościowym środkiem jego udoskonalenia. Sztuka objawia nędzę życia i ostateczny triumf zasad ludzkich, wyraża przenikliwość ludzkiego umysłu i to, co jest typowe w życiu społeczeństwa. Na tle tej ogólnej zasady humanistycznej sztuka staje się niezastąpioną przy narodzinach i ewolucji rodzaju ludzkiego”.

Łukacs we wstępie swojej pracy stwierdza, iż między ideologią faszystów a tendencjami nihilistycznymi i irracjonalnymi w literaturze współczesnej istnieje pokrewieństwo. Walka z tymi tendencjami w sztuce — pisze Łukacs — jest trudna, gdyż „nihilistyczny pogląd na świat opanowuje całą niemal sztukę

jukom dworskim. Następnie refleks tej legendy w literaturze od romantyzmu, który wprowadził „zbójców” na scenę aż po najnowszą literaturę realistyczną, społeczną (St. R. Dobrowolskiego „Janosik z Tarchowej” właśnie ukazał się w nowym wydaniu) uwzględniając tak powiązanie tej legendy z walką narodo-wo-wyzwoleńczą w XIX w. jak i ze ściśle społecznymi, klasowymi ruchami w XX w. i odbicie tej legendy w literaturze ludowej polskiej, słowackiej, ruskiej, węgierskiej czy niemieckiej. Wziąć trzeba pod uwagę i próby szukania historycznego „odbrażonego” zbójnika, choć ograniczające się tylko do prawnego-sądowego oblicza tego zagadnienia (prace słowackie Houfka i Sochana, polskie Józefa Krzyżanowskiego) ale niemniej dające nam materiał do poznania środowiska i stosunków społecznych. Następnie wpływ stworzonej przez literaturę postaci zbójnika na tworzenie się nowych wyobrażeń w sztuce, w muzyce czy w filmie, na powstawanie nowego, już z literatury czy filmu wyrosłego wątku, który znaleźć znów może nowe oblicze w świadomości ludowej i z kolei nowe wyrastanie tego samego wątku w nowoczesnych warunkach (tradycja o Doboszu a „Szuhaj” Olbrachta, „Janosik” Jalu Kurka).

Jest to więc cały zespół zagadnień historyczno-literackich, historyczno- społecznych, prawnych, etnograficznych, socjologicznych, wzajemnie się zalebiających i uzupełniających, który wymaga nie tylko dużego wkładu wiedzy z literatury porównawczej, dziejów społeczno-gospodarczych, czy folkloru, ale i nowych metod badania, nowoczesnych kryteriów naukowych.

Jan Reyhman

kę i literaturę niedawnej przeszłości”, a także, ponieważ „zagłada człowieka w społeczeństwie kapitalistycznym jest tak zasadniczym i istotnym faktem, że musi ona niechybnie znaleźć odbicie w sztuce”. Tę tendencję — mówi Łukacs — należy ostro zwalczać z chwilą, gdy uznajemy iż cel sztuki jest humanistyczny. „Zarazem — dodaje autor — nie powinniśmy wykluczać zasadniczo możliwości, że wybitniejsze dzieła sztuki mogą również powstawać na tle nieokreślonej postawy”. Łukacs znakomicie charakteryzuje postawę wielu intelektualistów, którzy z jednej strony protestują przeciwko zubożeniu i wyjałowieniu człowieka w ustroju kapitalistycznym, z drugiej jednak, nie osadzają tego protestu w określonej ideologii, nie wiążą go z walką młodych sił społecznych.

I tu wypowiada Łukacs kilka uwag, które mogą być szczególnie cenne i interesujące dla pisarza. „Świadoma walka przeciwko podobnym ideologiom (nihilizm, irracjonalizm, to co Łukacs nazywa rewoltą dekadentyzmu) (przyp. ph) jest niezbędna. Ilekroć jednak w takiej walce chodzi o zagadnienia kultury, zwłaszcza literatury i sztuki, tylekroć podnoszą się zastrzeżenia w imię zagrożonej wolności”.

Również i pod tym względem wymaga ideologiczna walka obszernej definicji pojęcia wolności, które nie może być traktowane w sensie formalnym. Nie powinna istnieć wolność dla faszystów, dla jawnej reakcji. Nawet gdy przypisujemy doniosłe znaczenie sztuce, literaturze lub filozofii, nie możemy usprawiedliwić szerzenia reakcyjnych, faszystowskich, lub też częściowo faszystowskich poglądów przez sztukę, literaturę czy filozofię. Przy zachowaniu tych podstawowych warunków jest nieodzowna swoboda wypowiedziania się zarówno w zakresie działalności twórczej, jak i w dziedzinie krytyczno-artystycznej. Również i tutaj spotykamy się z wypadkami skrajnych błędów nawet wśród marksistów z jednej strony z przesadną kontrolą biurokratyczną zjawisk kulturowych, z drugiej zaś z tendencją do użyczenia pełnej swobody wszelkim poglądom w dziedzinie sztuki. Mówiąc o wolności krytyki, mieliśmy przede wszystkim na myśli wolność marksistowskiego krytykowania dekadentycznej kultury burżuazyjnej chociażby nawet ta ostatnia chwelić się mogła znakomitymi nazwiskami i chociażby wkradła się w nasze własne szeregi

Partia komunistyczna — pisze Łukacs — nie głosi swej estetyki w tym sensie, że przynależność partyjna obowiązuje a priori do specyficznego wyznania wiary w sprawach sztuki. Marksisci jednak posiadają filozofię, estetykę, kulturę marksistowską, którą usiłują zastosować przy pomocy oręża ideologicznego perswazji wewnątrz partii i poza jej granicami”.

Uważam pracę Łukasza za jedno z niewielu naprawdę głębokich i cennych źródeł nowoczesnej wiedzy o literaturze. Łukacs traktuje sprawę sztuki szerszej niż to czynią normalnie krytycy. Łączy je ze sprawą moralności, nowej koncepcji życia ludzkiego i podobny jest w tym do wielkich krytyków — moralistów XIX stulecia, których wydała Francja i Rosja. Nie kwestionując bynajmniej wartości wiedzy erudycyjnej i umiejętności oceny formalnej, myślę jednak, że ta ściśła „fachowa” wiedza o literaturze nie jest pełna. Nic bardziej nie jest związane z życiem człowieka i jego sprawami niż książka, obraz, muzyka. I dlatego krytyk, który nie ujawnia tych związków, który je zastępuje tablicami rytmów i cedułami rytmów, czyni wielką szkodę. Odbiera bowiem sztuce to, co stanowi o jej życiu — związek z ludzką myślą i sercem.

ph.



Jednym z ostatnich przedstawień w lubelskim Teatrze Miejskim jest „Obrońca Ksantypy” L. H. Morstina w reżyserii Zofii Modrzejewskiej i oprawie scenicznej Jerzego Toroszyńskiego. Na zdjęciu scena z aktu II: w roli Mirryny — Maria Górecka, w roli Ksantypy — laureatka PISTu Karyna Waśkiewicz

Foto E. Hartwig

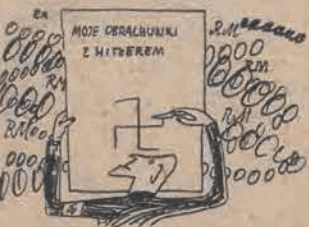
Koty

Nowa kariera Schachta

Doktor Hjalmar Schacht, osławiony prezydent Banku Rzeszy Niemieckiej za rządów Hitlera, stoi na progu nowej kariery. Tym razem jako pisarz. W zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec ukazała się już w sprzedaży jego książka, nosząca tytuł: „Moje obrachunki z Hitlerem”. Pierwsze wydanie wyszło z druku w 100 tysiącach egzemplarzy.

Nie znamy szczegółów tego, jak doktor Schacht porachował się obecnie z Hitlerem, ale należy przypuszczać, że w swych obrachunkach bez skrupułów obciążył konto byłego wodza. W chwili obecnej jest to jednakże zupełnie obojętne.

Wiemy bowiem, że doktor Hjalmar Schacht służył swą wiedzą, sprytem i stosunkami budowania podstaw finansowych dla przedsięwzięć militarnych Trzeciej Rzeszy.



Jego obecne porachunki z Hitlerem mogą mieć jedynie charakter fałszowania już przez innych ostatecznie sporządzonego i zamkniętego bilansu.

lm

Militaryzm protegowany

W Japonii zaczynają się ukazywać broszury, jawnie głoszące propagandę profeszystowską. Jedną z nich, krążącą już od dłuższego czasu w Tokio i innych wielkich miastach japońskich, orzeka po prostu, że jest rzeczą niemożliwą, aby Japonia oraz inne kraje pokonane w ostatniej wojnie mogły podźwignąć się na powrót przez wprowadzenie ustroju demokratycznego. Jedyną drogą, która może do tego celu doprowadzić, jest faszyzm.

Co na to mówią władze okupacyjne? Są bardzo liberalne. General Mac Arthur, szef służby informacyjnej oświadczył w tej materii, co następuje: „Atak przeciwko demokracji nie narusza bynajmniej przepisów kodeksu prasowego. Skutkiem tego uważamy, że autorzy broszury mieli prawo ją napisać i wydrukować”.



Jeżeli ten liberalizm będzie konsekwentny, nie wypadnie nam zbyt długo czekać na pełny renesans militarystyki japońskiej. Hiszpania frankistowska jest tego doskonałym przykładem. Oto ambasada hiszpańska w Waszyngtonie opublikowała ostatnio raport o stanie sił zbrojnych na półwyspie Północnym. W raporcie tym czytamy, że Hiszpania posiada w chwili obecnej 500 tysięcy ludzi pod bronią, a budżet wojskowy tego państwa dosięga 500 milionów dolarów rocznie.

Nic tedy dziwnego, że raport ambasady hiszpańskiej w Waszyngtonie kończy się konkretnymi wypowiedziami przeciwko Zw. Radzieckiemu.

lm

W strachu przed Dickensem

Korespondent agencji Reuter donosi, że na Malajach cenzura zakazała wyświetlania z górą 50 filmów, które zawierają sceny buntu ludowego, ponieważ według niej „niebezpiecznie jest w obecnej chwili pokazywać takie sceny azjatyckim widzom”.



Niedawno na rozkaz władz kolonialnych zdjęto z ekranu film nakręcony według powieści Dickensa: „Powieść o dwóch miastach”. Podstawą tego zarządzenia był fakt, że film zawiera epizody z historii rewolucji francuskiej.

zl

Endek a jednak materialista

Publicysta „Tygodnika Powszechnego” (Nr 45. Nauka czasem... podpisana S. O.) usiłuje chytrze dobranymi cytatai ogólnie uznanych twierdzeń z dwu artykułów prof. Konopczyńskiego i mimistra Jabłońskiego dowieść, że ten pierwszy we wszystkim ma taki sam pogląd jak drugi na konieczność reformy studiów historycznych w Polsce.

Nic nie może być radośniejszego dla nas niż to, że znani ze swojej reakcyjnej przeszłości profesorowie dziś godzą się szczerze z młodszymi marksistami. Widocznie zrozumieli swoje błędy.



Rozmowanie autora jednak przypomina trochę pana Pickwicka. Ten nie pojmował, jak adwokat dwu przeciwnych stron mogą tak samo sądzić, że „poranek jest piękny”. Pan S. O. natomiast uważa, iż identyczność poglądów w danej dziedzinie wystarczy, aby uznać identyczność poglądów na świat.

zlk

Duch Przybyszewskiego

W „Dzienniku Literackim” (Nr 45) Konrad Winklar pisząc o twórczości Xawerego Dunikowskiego snuje następujące rozważania o sztuce: „Nie znamy wszystkich zakamarków ducha. Sztuka jest prawdą a doznaje pełni swego przeznaczenia w chwilach gdy człowiek dochodzi do kresu wielkich zdobyczy duchowych”.

A my znamy te „zakamarki ducha” i tę „prawdę”. Znamy, bo czytaliśmy to już kiedyś u Przybyszewskiego, Miriama, Nietzschego etc.



„Dunikowski — pisze dalej autor artykułu — stanął mocną stopą w zasobnym, chociaż zaniedbanym skarbcu, który zasilały wieki. Długo błąkał się po różnych szlakach i po różnych drogach... Przeciwstawił tm przede wszystkim swą własną formę — formę swojej rasy”.

O tym również czytaliśmy, ale nie powiemy gdzie.

Nie mamy zamiaru prawić złośliwości zasłużonemu znawcy sztuki, ogłaszającemu nie od dzisiaj artykuły, essaye i rozprawy, chcieliśmy tylko zwrócić uwagę na dziwnie nie-współczesną terminologię, grasującą dotychczas w niektórych wypowiedziach na tematy z zakresu literatury i sztuki. Ta przybyszewszczyzna niczego nie wyjaśnia, przeciwnie — zaciemnia, dlatego należy wydać jej walkę. Napewno nie powinna pojawiać się w piśmie tak umiejętnie redagowanym jak „Dziennik Literacki”. Uwaga! Duch Przybyszewskiego pojawił się w Elsynchronie i strasy.

„Myszy i ludzie”

Podobno wielu ludzi w Polsce poduczyło się podczas wojny nieźle angielskiego. Wydawało by się, że jest to rekojmia przyzwoitego załatwienia sprawy przekładów z tego języka. Niestety, prawda, o której dobrze wiedzą ludzie z zagranicą, przekładu obczajni, polega na tym, że aby tłumaczyć, nie dość jest opanować obcy język, trzeba ponadto znać własny. Nie zdawał sobie z tego zapewne sprawy p. Jan Meyszłowicz, autor przekładu „Myszy i ludzi” Steinbecka, wydanych w 10.500 egzemplarzy przez Sp. Wyd. „Wiedza”. Jest to jeden z najskandaliczejniejszych przekładów jaki ujrzał światło dzienne w ostatnim czasie i przestrzegamy przed nim naszych czytelników. Oto próbkę, zaczerpniętą z kilku zaledwie stron.

„Zdjął kapelusz i zebrałszy palcem pot z miejsca, które styka się z czołem, strząsnął go na ziemię” (str. 6).

„Smakuje w porządku — przyznał — a wygląda jednak na prawie stojącą” (o wodzie — przyp. nasz, str. 7).

„Chlusnął dłonią na twarz i wycierał ręką po brodzie i szyi” (str. 7).

„Mogliśmy dojechać do samego rancha — rzekł ze złością — gdyby ten nieprzyjacielski synsofer autobusu, wiedział w ogóle o czym mówić” (str. 8).

„Mały mężczyzna trącił w dół rondo kapelusza i warknął: — To już zapomniałeś, co? I muszę ci znowu tłumaczyć, co, Jezus, Maria, co za leniwy, nieprzyjacielski pomiot” (str. 8).

„Nie ma nic w mojej kieszeni — rzekł Lennie jakby chytrze (str. 9).

„Gwałcie sykomorów chrzęściły pod odrobiną wiatru” (str. 11).

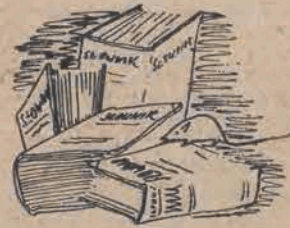
„Lennie wygramolił się na nogi” (str. 12).

„Warga u Lenniego drżała” (str. 13).

„Dostaniesz inną, świeższą i będziesz mógł ją sobie trochę zatrzymać” (o myszy, str. 13).

„Chciałem tylko pomazać sukienkę tej dziewczyny... „Chłopcy szukają za nami”... (str. 15).

„Chłopcy takie jak my, co pracują na ranchu, to najsamotniejsze chłopcy na świecie” (str. 17).



Te wyrwane z kontekstu próbki nie są zresztą w stanie unaocznic w pełni horrendalności języka jakim przełożona została jedna z głośniejszych współczesnych powieści amerykańskich. Składnia, szyk i dobór wyrazów świadczą o tym, że tłumacz to istotnie „nieprzyjacielski” polskiego języka. Radzimy mu, aby zebrał palcem pot z miejsca, które styka się z czołem, wytarł go ręką po brodzie i szyi i poszukał za inną robotą, nie biorąc się do przekładania utworów literackich.

Sk.

Szopen na płytach

Polski przemysł płytowy rozpoczął swoją działalność przed kilkoma laty, nastawiając się wyłącznie na potrzeby rozrywkowe, przy czym — należy tu zauważyć — na płytach tych reprodukowano głównie to, co odpowiada smakom bardzo drobnomieszczańskim.

O reprodukcji muzyki poważnej mało dotąd pisało się, a mniej jeszcze mówiono. Wydaje mi się, że płyty mogą być jednym z najważniejszych czynników propagandy muzyki poważnej.



Przed kilku dniami pojawiły się w sprzedaży pierwsze po wojnie polskie nagrania Szopena, a jednocześnie pierwsze po wojnie polskie płyty reprodukcje muzyki poważnej. Nagrania te, choć jeszcze nie pierwszorzędnej jakości technicznej (myślę tu o płytach, nie o muzycznym wykonaniu) powinny być szeroko rozreklamowane w prasie specjalnej i codziennej. Taki bodziec skłoni może polski przemysł płytowy do uwzględniania muzyki poważnej w szerokim zakresie, nawet po wykonaniu obowiązku wydania „płytoteki” szopenowskiej.

ph.

Zasługi wydawców

Ubogi po wojnie dział wydawnictw klasycznych starożytnych wzbogacił się o nową pozycję. Nakładem księgarni Rutskiego w Łodzi („Biblioteka humanisty”) ukazały się Marka Aureliusza „Rozmyślenia” w przekładzie Mariana Reitera. Druk i graficzny układ książki zasługuje na wyróżnienie.

Francuska literatura XIX wieku, poza Balzakiem i Stendhałem, jest niestety wciąż jeszcze przedmiotem trosk jednego tylko wydawnictwa — „Wiedzy”. Po Murgerze, Daudecie, „Wiedza” wydała „Adolfa” Benjamina Constant, powiększając tym samym nasz powojenny dorobek przedruków znakomitej Biblioteki Boya. Przy okazji chciałbym przypomnieć o „Czerwonym zeszycie”. „Czytelnik” wydał w ramach dzieł zebrań Stefana Zeromskiego „Urodę życia”. Z wielkich powieści Zeromskiego wszystkie prawie są już dostępne w nowym wydaniu. Obecnie kolej na tomy opowiadań i utworów dramatycznych, a także pism o treści społecznej i aktualnej.

ph.

KOESPONDENCJA

Do Redaktora „Kuźnicy”

W artykule Stefana Żółkiewskiego pt. „Agitur de re vestra”, w Nr 44 „Kuźnicy” z pewnym zdumieniem, napotkałem nazwisko swe w grupie pisarzy, którym autor przypisuje amorfistyczne tendencje w prozie literackiej. Przypuszczam, że nie odnosi się ten zarzut do mej prozy przedwojennej, która spotkała się z biegunowo odmiennymi ocenami takich krytyków, jak Irzykowski, Czachowski, Piwiński i inni. Nie może zaś odnosić się do mej prozy powojennej, gdyż rzeczy, napisanych przeze mnie zagranicą, nie drukowałem jeszcze w kraju.

Zbyt cenię powagę Stefana Żółkiewskiego, jako znakomitego badacza literatury, abym nie miał jak najbardziej zdecydowanie odciąć się od tego — jestem pewien — przypadkowego „zsuflakowania” mnie, i powiązania z tymi tendencjami w sztuce, które są mi obce i z którymi zawsze walczyłem.

Warszawa, 6.11.48.

Anatol Stern

OD REDAKCJI

Uwaga o Anatolu Sternie w art. St. Żółkiewskiego opierała się na jego noweli drukowanej w „Kuźnicy”.

rde

„Igraszki z diabłem” i z... językiem

Jako tłumacz sztuki Jana Drdy „Igraszki z diabłem”, nie mając jeszcze sposobności obejrzenia spektaklu łódzkiego, ze zdumieniem dowiedziałem się z recenzji Adama Ważyka w nrze 45. Pańskiego pisma, że do utworu tego została wprowadzona „w przekładzie polskim drobnomieszczańsko-lumpiarska gwara”. W sztuce Drdy kilka postaci, istotnie mówią gwara, ale gwara ludowa, nie mająca nic wspólnego z jakimś miejskim żargonem, jako że jest to w ogóle typowo ludowa bajka. Niemniej jednak autor w stosowaniu tej gwary nie przesadził, co uprawnia mnie jako tłumacza do zabarwienia tylko dialogu niektórych postaci naleciałościami i formami gwarowymi. Wiem, że aktorom gwara przychodzi na ogół ciężko, że na ogół źle ją interpretują i dlatego wstrzemięliwość moją w jej stosowaniu posunąłem dosyć daleko. Ponieważ „Igraszki z diabłem” ukazały się niedługo drukiem, łatwo to będzie sprawdzić.

Uważając zarzuty Adama Ważyka dotyczące „knajaków” i „kuku na muniu”, za całkowicie słuszne i uzasadnione, proszę Pana o umożliwienie mi oświadczenia, że ten język „Igraszek z diabłem” nie ode mnie pochodzi. Łączę wyrazy poważania

Zdzisław Hierowski

REZOLUCJA ZJAZDU KÓŁ POLONISTYCZNYCH

Zarząd Główny Związku Kół Polonistycznych Polskiej Młodzieży Akademickiej podaje do wiadomości tekst rezolucji, uchwalonej na odbytym w dniach 30.10—3.11.1948 roku Zjeździe Związku Kół Polonistycznych. III Zjazd Związku Kół Polonistycznych Polskiej Młodzieży Akademickiej w Łodzi w dniach 30.10—3.11.1948 r. w trosce o rozwój nauki, jako fundamentu kultury i dzwignię społecznego, domaga się unowocześnienia metod pracy naukowej i dydaktycznej na studium polonistycznym w oparciu o zasady marksizmu, które gwarantują poprawność postępowania naukowego i zbudowanie pełnej wiedzy o kulturze oraz wychowanie człowieka na miarę nowego ustroju sprawiedliwości społecznej.

KSIAŻKI NADEŚLANE

- Władysław H. Malinowski: Dzieje Instytutu Oftalmicznego im. Edwarda Ks. Lubomirskiego w Warszawie 1823—1944. Nakł. Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Warszawa 1948, str. 171.
- Rocznik Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Rok XL 1947. Nakł. Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Warszawa 1948, str. 171.
- Halina Górsta: O księciu Gotfrydzie rycerzu gwiazdy wigilijnej. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 147.
- Max Daireux: Kulisy zagnanego żywota. przekł. Ga. Briela Karskiego. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 255.
- Margaret Storm Jameson: Po drugiej stronie, przekł. W. Gojawiczyńskiej-Nadzin. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 162.
- Stefan Arski: Cień nad ojczyzną Roosevelta Ameryka 1945—1948. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 192.
- Jerzy B. Rykhiński: Kulawy Bosman. Powieść dla młodzieży. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 264.
- Erich Maria Remarque: Łuk triumfalny. Powieść. Przekł. Wandy Meleer. Wyd. II. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 389.
- Emil Zola: Germinal. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, tom I — str. 261, tom II — str. 191.
- Adam Mickiewicz: Dziady wileńsko-kowieńskie, oprac. Henryk Szyper. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 210.
- Olga Kuzniecowa: Wróg pod mikroskopem. Powieść i Ludwika Pasteurze. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 244.
- Victor Hugo: Rok 1793. Powieść, przekł. Juliana Malinaka. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 439.
- Karin Michaelis: Dzieci z Nyhavn. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 206.
- Karel Capek: Hogubal, przekł. Pawła Hulki-Laskowskiego. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 147.
- Roman Brandstaetter: Powrót syna marnotrawnego. Dramat w 3 aktach. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 261.
- Fryderyk Engels: Rozwój socjalizmu od utopii do nauki, przekł. Juliana Malinaka. Wyd. nowe przejrzone i uzupełnione. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 128.
- Stanisław Krasowski: Watykan a Polska. Nakładem Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948 r., str. 66.
- Tadeusz Sinko: Literatura grecka, tom II — Literatura grecka, tom II — Literatura hellenistyczna, część 2 (wiek I przed Chr.). Nakł. Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków 1945, str. 247.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”. Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik”

REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorek, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr. 96. — Telefon 204-75

CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpalcie 40 złotych.

WARUNKI PRENUMERATY:

Miesięcznie zł. 80.—; kwartalnie zł. 240.—; półrocznie zł. 480.—; rocznie zł. 960.—.

Należność za prenumeratę należy wpłacać

do P.K.O. konto VII—587 „Prenumerata Kuźnicy”.

Drukarnia Nr. 4 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, Żwirki 2

D—028/82